

● POLSKI IDEALIZM - POLSKI REALIZM ● L. MILLER ROZMAWIA
Z Z. ŁUPINĄ ● LUBELSKIE LATA J. ŁOBODOWSKIEGO ●
PREPARAT PROF. TOŁPY ● NISZCZENIE BADYLARZY ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 2-8 II 1989 R.

NR 3

CENA 50 ZŁ

NOWY JORK WCALE NIE LEŻY TAK DALEKO OD WARSZAWY

POLSKI IDEALIZM - POLSKI REALIZM

Rozmowa z prof. dr.

STANISŁAWEM BLEJWASEM,

dyrektorem Polish

Studies Program

w Central Connecticut

State University

w New Britain

— W 1964 roku został pan doktorem Uniwersytetu Columbia na podstawie dysertacji pt. „Realizm i idealizm w polityce polskiej. Pozytywizm warszawski a przetrwanie narodu Polski w XIX wieku”. Obecnie kieruje pan programem studiów polskich w Centralnym Uniwersytecie Stanowym Connecticut, będąc równocześnie profesorem zwyczajnym tej uczelni. Od lat jest pan aktywnym działaczem Kongresu Polonii Amerykańskiej i „Solidarności” w USA. Czy czegoś nie pominąłem w tym przedstawieniu?

— Chyba nie. Dodam, że program studiów polskich — jedyny uniwersytecki, jaki jest realizowany w USA — powstał z inicjatywy samej Polonii, ściślej: Kongresu Polonii Amerykańskiej tego stanu. Przypadki takiego poczucia samoświadomości narodowej nie są zbyt częste.

— Pańska praca doktorska, która ukazała się drukiem w oficynie Yale University w 1982 roku, wywołała gorącą dyskusję. Dlaczego?

— W USA i na Zachodzie silnie zakorzeniony jest stereotyp Polaka i pol-

skiego modelu patriotyzmu. W dużym uproszczeniu jest to obraz związany z romantyzmem i pochodzącym stąd postulatem: „Mierz siły na zamiary”. Wedle niego, Polacy łatwo umierają dla jakiejś sprawy, byle tylko miała dostateczną motywację emocjonalną, idealistyczną. Nie liczące się z realiami zamiary wyznaczają — wedle zachodnich stereotypów — politykę narodowowyzwoleńczą Polaków: bezsensowne, z góry skazane na klęskę zrywy powstańcze.

Z takim oglądem Polski i Polaków starałem się w mojej pracy polemizować. Prezentowałem różne nurty realizmu polskiego — głównie program pozytywizmu warszawskiego, poglądy ludzi skupionych wokół Szkoły Głównej „Przeglądu Tygodniowego”, aż po początki ruchu socjalistycznego.

— Jakimi przykładami próbował pan przekonać czytelników?

— Polegało to na pokazaniu panoramy społecznej i gospodarczej po nie-



Manhattan.

Fot. Andrzej Polakowski

Dokończenie na str. 10

relacje ZE ŚWIATA

PEKAJA BARIERY pilnie dotąd strzeżonej tajemnicy wojskowej. Dotąd wiedzieliśmy „tylko”, jakim potencjałem dysponuje NATO, a od kilku dni — również i siły zbrojne Układu Warszawskiego. Tajne do niedawna informacje przyniosła poniedziałkowa prasa.

PLAC ŚW. WACŁAWA W PRADZE w styczniu był miejscem szeregu demonstracji organizowanych — jak objaśnia się to nad Wełtawą — przez „elementy antysocjalistyczne”. Szczególne nasilenie zamieszek nastąpiło w 20 rocznicę samospalenia Jana Palacha, w ten dramatyczny sposób protestującego przeciwko „duchowi”, który zapanował w Czechosłowacji po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w 1968 r. Uczestnicy tych manifestacji witali milicję również i takimi okrzykami: „Niech żyje Dubczek”, „Gorbaczow to widzi”. Z demonstracji na demonstrację rosła agresywność zarówno ich uczestników, jak i organów milicji oraz służby bezpieczeństwa. 519 osób zatrzymano, 3 osadzono w więzieniu.

W ostatnich dniach w Pradze pano-

wał spokój, niektórzy dodają słowo — względny. Wykrzykiwane na ulicach żądania zmian gospodarczych i społecznych (z wyjątkiem personalnych i politycznych) bywają także wyrażane w miejscach oficjalnych.

W **LIPSKU**, w czasie nielegalnej manifestacji zorganizowanej z okazji 70 rocznicy zamordowania Róży Luksemburg i Karola Liebknechta, milicja dokonała aresztowań członków tzw. niezależnego ruchu pokojowego i ruchu praw człowieka. Akcja protestacyjna przeciwko tym zatrzymaniom miała miejsce w Berlinie.

RADA NAJWYŻSZA Estońskiej SRR przyjęła ustawę o języku, na mocy której estoński staje się językiem urzędowym we wszystkich biurach i przedsiębiorstwach oraz sądach na terenie republiki. Ostatnio w ślady Estonii poszła i Litwa.

BORYS JELCYN, usunięty przed 15 miesiącami z Biura Politycznego KC

KPZR za swój reformatorski radykalizm, zaczyna uzyskiwać status przywódcy i rzecznika opozycji wewnątrz ustroju. „Komsomolskaja Prawda” u-dostępnia mu łamy, z których korzysta on bez ogródek. Pisze i mówi głośno o: wieloletnim oczekiwaniu na marne mieszkanie, pustych sklepowych półkach, korupcji i zalewie biurokracji. Dowodzi braku szerokiego społecznego poparcia dla pierestrojki, uzasadniając to kilkudziesięcioletnim „trenowaniem” narodów ZSRR na pustych hasłach. Jelcyn nie mianuje się wrogiem reform Gorbaczowa, a wręcz, jak powiada, — przez odwołanie się do szerokiego mas — chce zapewnić im sukces.

Jelcyn, podobnie jak i Sacharow, wyraził gotowość ubiegania się o mandat deputowanego ludowego w zapowiadanych na marzec wyborach.

POŁUDNIOWOKOREAŃSKI KONCERN HYUNDAI ma zbudować dla ZSRR 9 statków. Wartość kontraktu 270 mln dolarów. Zapłata odbywałaby się w postaci dostaw węgla i drewna. Hyundai rozważa też możliwość zbudowania rurociągu, który połączyłby syberyjskie zagłębie naftowe zarówno z Koreą Południową, jak i Północną.

relacje Z KRAJU

PRZED TYGODNIEM prorokowaliśmy w tym miejscu, że „szybko już słynny mebel przewieziony zostanie z Henrykowa do Jablonnej”. I rzeczywiście, na 6 lutego zapowiedziane zostało (po spotkaniu przygotowawczym z udziałem gen. Czesława Kiszczaka i Lecha Wałęsy) pierwsze posiedzenie „okrągłego stołu”. Jak wynika z niezwykle lapidarnego komunikatu, omawiane będą trzy główne tematy: gospodarka i polityka społeczna, reformy polityczne, pluralizm związkowy. Ale też ten zasadniczy pakiet spraw uzupełnić mają problemy rolnictwa, górnictwa, młodzieży, stowarzyszeń; mowa ma być także o potrzebie reformy prawa i sądownictwa.

Nie kryjąc satysfakcji, nie kryjemy i obaw, wierzymy jednak w dobrą wolę wszystkich stron. O ile i ta nadzieja sprawdzi się, niewykluczone, że jeszcze przed wakacjami wybierzemy nowy Sejm.

WIZYTY. Członkowie kierownictwa PZPR spotkali się w wielu miejscowościach z robotniczymi zalogami, pracownikami instytucji i placówek gospodarki rolnej, kadrą wyższych uczelni. Rozmowy dotyczyły wyników X Plenum KC, a przede wszystkim zapobiegawczego w jego trakcie stanowiska w sprawie pluralizmu politycznego i związkowego.

Goszczący z tej okazji w Lublinie i Świdniku, coraz bardziej popularny, dzięki niekonwencjonalności słów i czynów, Leszek Miller odwiedził naszą redakcję. Jako że było to akurat w momencie skromnego święta z okazji ukazania się pierwszego numeru „Relacji”, w czym udział wzięli nasi dysponenci, wydawca, drukarze, a także autorzy publikacji, L. Miller miał okazję przeprowadzić rozmowę z przedstawicielem opozycji, dr. Zygmuntem Łupiną. Zapis tej rozmowy publikujemy obok.

CHRZEŚCIJAŃSKIE STOWARZYSZENIE SPOŁECZNE przekształciło się w Unię Chrześcijańsko-Społeczną. Jej prezesem został Kazimierz Morawski, dotychczasowy prezes ChSS. Organizacja zrzesza 26 tys. członków.

PO **LATACH** reaktywowano Stowarzyszenie Sybiraków. Jego prezesem został Ryszard Reiff, który nie tylko uciekł z łagru stalinowskiego, ale i piechotą doszedł do Warszawy.

Z **NIEDAWNEGO SPISU POWSZECHNEGO** wynika, że jest nas 37 769 tys.; 61 proc. Polaków żyje w miastach. Ze zdziwieniem: jedno mieszkanie przypada przeciętnie na 2 osoby, doliczono się 171 tys. tzw. pustostanów. Szykującym się ewentualnie do „skoku” na pustostany, „brygadam tygryso”, przypominamy żalosne wyniki ich

dotychczasowych polowań. Jesteśmy natomiast za tym, aby mieszkanie stało się towarem, z pełnymi tego faktu konsekwencjami.

POSEŁ RYSZARD WOJNA, wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu PRL, wyraził opinię o desygnowaniu na stanowiska ambasadorów: „Przyjął się u nas, niestety, obycaj, że w ramach tzw. karuzeli kadrowej — deleguje się do służby dyplomatycznej osoby często zasłużone i mądre, fachowców z wielu dziedzin, ale nie przygotowane do pełnienia ważnych dla państwa funkcji jego reprezentanta za granicą”. (Za „Rzeczpospolitą”).

INFLACJA W POLSCE w bieżącym roku — według przewidywań ekspertów gospodarczych — będzie nie mniejsza niż w 1988 r.

OD 30 **STYCZNIA** ULEGŁY ZMIANIE CENY LEKÓW w skali od 40 do 2000 procent. Szokują te „2 tysiące procent”. Ale w praktyce (oczywiście: zależy jeszcze dla kogo) nie jest aż tak starszanie, bowiem leki — których ceną ponoć nie ulega zmianie od 20 lat — były względnie tanie. Odwołajmy się do przykładów. Polopiryna „S” zamiast 10 zł kosztować będzie 100 zł, syrop Guajazyl zamiast 22 zł — 210 zł. Vibovit drożeje z 53 zł do 250, a Ampicilina (0,5) z 256 do 500 zł. Gdyby ktoś po tej lekturze chciał sięgnąć po Alcaprim, zapłacić musiałby zamiast 20 zł już 120 zł.

A więc: zdrowia, zdrowia...

PODROŻ PAPIESKA na Kubę jest możliwa jeszcze w tym roku. Jak pisze „Times”: Fidel Castro czytelby sobie tego. Natomiast Jan Paweł II czeka na dalszą liberalizację stosunków między Kościołem a komunistycznym rządem w Hawanie... Ponadto: jak wynika z wypowiedzi kardynała Casariego, papież gotów jest przyjąć Michaila Gorbaczowa.

IZRAEL — co wynika z ostatnich doniesień — gotów jest negocjować sprawę pokoju na Bliskim Wschodzie, nawet w towarzystwie Organizacji Wyzwolenia Palestyny. A dzieje się to „pod obuchem opinii światowej”, czego przykładem wypowiedź przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, grożącego Izraelowi izolacją.

„**ZABIĆ KSIĘDZA**” — to tytuł najnowszego filmu Agnieszki Holland (drugiego na Zachodzie), będącego koprodukcją francusko-amerykańską. Choć z ekranu nie padają autentyczne nazwiska, jasnym jest, że chodzi tu o dramat wiążący się z osobą ks. Jerzego Popiełuszki. To ekranowe widowisko polityczne otrzymało dobre recenzje zachodnich krytyków i widzów oraz, naszej rodzimej publiczności, do której do'arły już „pirackie” kasety video.

POLSKI MAGNETOWID, rodem z „Kasprzaka”, opatrzony symbolem MTV-100, wkrótce ma trafić do sprzedaży. Handlowa cena ustalona została powyżej miliona złotych. Funkcje „kasprzakowskiego” magnetowidu sprawują się do: odtwarzania, rejestracji, przewijania z podglądem, stopklatki i dwutygodniowego programowania nagrań z anteny. W pierwszej kolejności MTV-100 trafi do szkół, placówek kultury etc. Tak więc „nie uspołecznionym” amatorom pozostają PE-WEX. „Ballona” itp. Przy okazji: znana firma „Panasonic” — najwięcej magnetowidów i telewizorów — nie licząc rodzimej Japonii — sprzedaje w Polsce, zaś dla „Sanyo” nasz kraj jest drugim po RFN zagranicznym odbiorcą. W ciągu ostatnich pięciu lat na sprzęt video Polacy wydali 1 mld dolarów.

Z **OPUBLIKOWANYCH WŁASNE ZASAD SPRZEDAŻY SAMOCHODÓW** wynika, że obywatel PRL, o statusie przeciętnego śmiertelnika, w posiadanie nowego samochodu będzie mógł wejść po wygraniu przetargu.

OFIAROWANĄ POLSCE przez pp. Porczyńskich bezcenną kolekcję malarstwa oglądać będzie można dłużej niż pierwotnie zamierzano, bo do końca lutego. Wystawa, przypomnijmy, czynna jest w Muzeum Archidiecezjalnym w Warszawie przy ul. Solec 6. Poniedziałki, środy, piątki i soboty — to dni przeznaczone dla osób indywidualnych, zaś wtorki i czwartki — dla grup, lecz uprzednio zgłoszonych.

relacje Z REGIONU

POLONUS ZE SZWAJCARII, p. Piotr Büchner, dyrektor firmy Solco-Basel, ofiarował Instytutowi Pediatrii lubelskiej AM cytoskop, kosztujący 20 tys. DM. Wzruszeniu towarzyszy i żal, że urządzenie to, niezastąpione w diagnostyce urologicznej, na lokum z prawdziwego zdarzenia oczekiwać będzie musiało Bóg wie ile. Nikt bowiem ze śmiertelnych nie potrafi powiedzieć, kiedy Instytut Pediatrii, kocujący w koszmarnych warunkach przy ul. Staszica przeprowadzić się będzie mógł do nowego obiektu. Mimo licznych deklaracji wspierających ideę zaszczerpioną przez prof. Stanisława Gębałę, dzieło budowy postępuje niezwykle ślamazarnie.

FUNDACJA OCHRONY ZABYTKÓW LUBLINA — to pomysł na skuteczniejsze uporanie się choćby z częścią kłopotów finansowych, organizacyjnych, zaopatrzeniowych etc., towarzyszących dziełu ratowania historycznego Lublina. W geście tym jest i coś z rozpaczy, bowiem dotychczasowe instytucjonalne i społeczne formy ratunku nie dają oczekiwanych skutków. Czy tę rolę spełni fundacja, mająca również nadzwyczajne prawa? — o tym czas pokaże. A póki co opracowywany jest statut; postanowiono, że fundacja swój wywoł rozpocząć w lipcu br. Pierwszym obiektem, któremu poświęci swą

uwagę (i fundusze), będzie świetny ongiś Teatr Stary. A na jego temat napiszemy w jednym z najbliższych numerów „Relacji”.

CO 12 NOWE AUTO, zarejestrowane w ubiegłym roku w wydziale komunikacji w naszym regionie, pochodzi... z domowej wytwórni. Polmozyt sprzedał 13 tys. nowych samochodów, a ci, którzy zwątpili w swoje szanse, złożyli — jak podaje „Kurier Lubelski” — 1070 pojazdów. W kolejności były to: „maluchy”, polonezy, duże fiaty, a także audi i mercedesy, a nawet ciężarówki, autobusy, o traktorach nie wspominając.

Już tylko w przedszkolu (i to nie wszyscy) wierzą, że „murarz domy buduje, krawiec szyje ubrania”...

LUBELSKA PANORAMA TELEWIZYJNA, której jeszcze niedawno cykl produkcyjny trwał „od paru do kilku dni”, w ostatnią sobotę, zaledwie w godzinę po ogłoszeniu wyników, obrazem i słowem obwieściła, że Miss Lublina na rok 1989 została studentka UMCS (III rok biologii) — Anita Furtał, zaś „wicemisskami” — licealistki: Katarzyna Siotor i Beata Orłowska.

Gonimy ten świat, no nie?

DO LUBELSKIEGO RATUSZA zaproszeni zostali przedstawiciele „Relacji”.

cji”. Owszem, były słowa serdeczne i życzenia prezydenta Edwarda Leńczu-ka oraz towarzyszących mu osób pod adresem startującego dopiero pisma i jego zespołu (dziękujemy!). Ale przede wszystkim rozmawialiśmy o Lublinie takim, jaki jest, o Lublinie, jakiego wspólnie pragnęlibyśmy. O tym również będzie na tych łamach.

Oprac.: Zbigniew Miasga

REDAKCYJNE SPOTKANIE

W minioną sobotę odwiedził redakcję „Relacji” Joseph E. Gore, prezes Fundacji Kościuszkowskiej, liczącej blisko 65 lat, najstarszej tego typu organizacji

polonijnej w świecie. Gość z zainteresowaniem wysłuchał informacji o programie pisma, w którym (i w zgodzie z tytułem) mieszczą się także zamiary publicystyczne związane z obszarem relacji: Polonia — kraj. Podczas pobytu w Lublinie J. E. Gore przebywał w KUL, gdzie spotkał się z władzami najstarszej lubelskiej uczelni: oraz społecznością akademicką. Doszło także do spotkania z kierownictwem Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS i Towarzystwa „Polonia”. (W jednym z najbliższych numerów zamieścimy rozmowę z Josephem E. Gore, przeprowadzoną w Nowym Jorku.)

(wjd)

Książki dla Lwowa

Na nasz apel o przekazanie małym rodakom ze Lwowa, uczniom tamtejszych dwu polskich szkół, książek, ewentualnie pieniędzy na zakup dla nich biblioteczki, jako pierwsi odpowiedzieli: Anna Rajca (10 tytułów), Piotr Rajca (19), Janina Mazur (32). Dalsze nazwiska ofiarodawców w następnym numerze. Bowiem — z ogromną satysfakcją — donieść pragniemy, że do naszej akcji przyłączyli się graficy z Lublina i regionu, ogłaszając między sobą konkurs na ekslibris, którym

opatrzone zostaną „lwowskie” książki. Oprócz inicjatora konkursu Alfreda Gaudy, przystąpili do niego: Zbigniew Józwiak, Stanisław Baldyga, Zbigniew Strzałkowski, Roman Mucha, Grzegorz Mazurek, Tomasz Zawadzki i Maksymilian Snoch.

Tym, którzy w „Relacjach” chcieliby złożyć swój dar dla lwowskich dzieci, podajemy nasz adres: ul. Skłodowskiej 2, 20-950 Lublin (w godz. 9—15). Natomiast dowolnych wpłat dokonać można na następujące konto: BDK I Oddział w Zamocisku 339403-10937-132 z dopiskiem „Społeczny Komitet Akcji Książki dla Lwowa”.

**NIE MA CZASU NA WYBIERANIE BRZYTWY, GDY SIĘ TONIE.
CHWYTA SIĘ TAKĄ, JAKA JEST.**

TRZEBA ROZMAWIAĆ...

**Waldemar Piasecki
Leszek Wiśniewski**

LESZEK Miller, sekretarz KC partii od ostatniego jej plenum, nie należy do ludzi konwencjonalnych. Reprezentuje reformatorski nurt we władzach PZPR, oceniający realia polskie takimi, jakimi one są, a więc w całym politycznym zróżnicowaniu, odrębnych poglądach i opcjach różnych ugrupowań, z przeświadczeniem o konieczności pluralizmu. Dla porządku wypada przypomnieć, że Miller zainicjował cykl (miejmy nadzieję) spotkań członków ścisłego establishmentu partyjnego ze wszystkimi gotowymi do takiego dialogu. W stołowie Komitetu Centralnego spotkał się, by dyskutować o problemach młodzieży polskiej z gremium bardzo zróżnicowanym i na pewno z góry nie „ustawionym”. Co było zresztą widać w telewizji.

We wtorek, 24 stycznia br. Leszek Miller przebywał w Lublinie i Świdniku. O ile dość oczywista wydawała się wizyta w WSK, o tyle zamiar spotkania się z zespołem „Relacji” i ich gośćmi (prezentowanymi na łamach pierwszego numeru tygodnika) stanowił pewne zaskoczenie. Trudno powiedzieć, by — niemiłe i nie interesujące poznawczo.

Jak się okazało, sekretarz był niezłe zorientowany, gdzie się znajduje, jakie motywy powodowały powstaniem „Relacji” oraz likwidacją tytułu, po którym odziedziczyliśmy pomieszczenia przy ulicy Skłodowskiej 2. Obecni byli także przedstawiciele władz, wydawcy pisma, drukarze, kolporterzy. Dało się odczuć absorbującą obecność ekipy TVP, której poczynaniom podporządkowano nieco tok wydarzeń w redakcji. Na szczęście „nieco” znaczy tu dokładnie tyle, co nieco. Ekipa nakręciła różne momenty spotkania, w tym jeden fragment dość zasadniczej wagi, jeśli potrzebę pluralizmu w Polsce ma się traktować poważnie i strategicznie. Nim ów fragment zrelacjonujemy (zapis magnetofonowy), wróćmy do chronologii.

Po przedstawieniu składu zespołu redakcyjnego jego szef w paru zdaniach powiedział, czym się będą zajmować „Relacje” w ogóle i w najbliższych numerach. Była mowa o ujawnianiu postaw, poglądów i intencji mających Polskę dobrze służyć, przede wszystkim zaś: nie dzielić, a łączyć; zbliżać, a nie oddalać Polaków od siebie; nie burzyć, lecz budować. Przy realizacji tych zamierzeń nie może być dla zespołu tematów tabu czy też takich, które mogłyby być uznane przez kogoś za niewygodne.

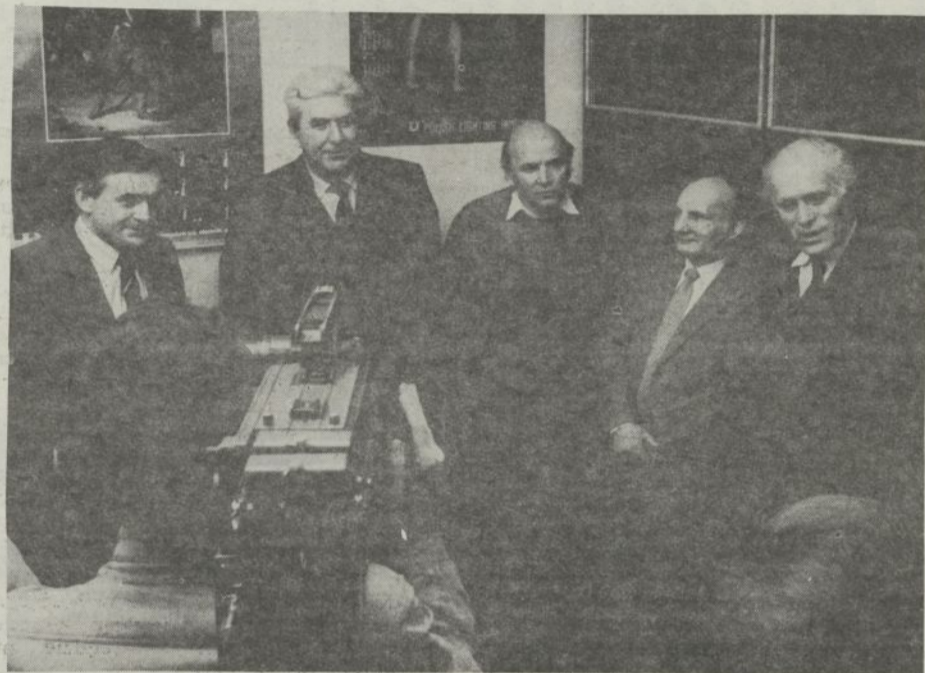
Leszek Miller wyraził nadzieję, że te „groźby” zostaną spełnione, a ponieważ wiele z nich jest identycznych z jego poglądami, prosił o zaliczenie go do grona stałych czytelników i sympatyków, a kto wie czy nie współpracowników „Relacji”.

Potem przyszło do spraw mniej oficjalnych, a bardziej kameralnych. Sekretarz KC rozmawiał z gośćmi redakcji: doc. dr. hab. Ziemowitem Jackiem Pietrasiem, dr. Januszem Wroną i dr. Zygmuntem Łupiną. Ostatni, jak wiadomo, jest działaczem zdelegalizowanego NSZZ „Solidarność”, a z racji poglądów politycznych — członkiem opozycji. Treść dyskusji pomiędzy Zygmuntem Łupiną i Leszkiem Millerem, rejestrowana zresztą w całości przez TVP, wydaje się warta przytoczenia in extenso. Za zgodą obu dyskutujących, bez późniejszej autoryzacji.

Zygmunt Łupina: — Byłem delegatem na zjazd „Solidarności” w Gdańsku, byłem internowany, wcześniej uczestniczyłem w strajku nauczycieli lubelskich. Chciałbym pana zapytać, czy w głosowaniu na plenum KC o powiedział się pan za pluralizmem związkowym?

Leszek Miller: — Tak jest! Głosowałem za pluralizmem.

Zygmunt Łupina: — Przypuszczam, że tak pan właśnie głosował. Ważne jednak, czy kierownictwo partii jest w stanie zagwarantować pełnię realizacji tego stanowiska? Czy panujecie na tyle nad sytuacją w partii, by można było budować trwale nadzieje społec-



Podczas spotkania w redakcji doszło do dialogu władzy i opozycji. Pierwszy od lewej — sekretarz KC Leszek Miller, pierwszy od prawej — dr Zygmunt Łupina, członek kierownictwa struktur zdelegalizowanej „Solidarności” w naszym regionie.

Fot. Jacek Miroslaw

zeństwa związane z tym stanowiskiem?

Leszek Miller: — A czy pan, panie doktorze, może dziś w imieniu swoich kolegów zagwarantować, że linia, którą pan reprezentuje (a jest ona zbliżona z poglądami pana Lecha Wałęsy) — zwycięży w „Solidarności”? Ze będzie tendencją dominującą? Ja pana przepraszam, że odpowiadam pytaniem na pytanie, ale jeśli mowa o gwarancjach, to one muszą być formułowane ze wszystkich zainteresowanych stron. Nasze organizacje partyjne będą się zachowywać tak, jak w ich środowiskach będą się zachowywać pańscy koledzy. To jest równowaga naczyń połączonych. Jeżeli chcemy, aby układ był stabilny, musimy dbać o to po stronie wszystkich zainteresowanych.

Zygmunt Łupina: — Rozumiem, o co panu chodzi. Z tym jednak, że nie jesteśmy równymi partnerami. Większa odpowiedzialność spoczywa na was, na władzy. Ja osobiście i wszyscy moi koledzy, z którymi omawialiśmy nie dalej jak wczoraj stanowisko Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”, zadeklarowaliśmy linię porozumienia. I zdając sobie sprawę, że możemy mieć tu, w naszym regionie, nawet konflikt, postanowiliśmy być wierni tej linii. Uznaliśmy, że nie ma czasu na wybieranie brzozy, gdy się tonie. Chwyta się taką, jaka jest. To daje szansę. Jeszcze raz jednak podkreślam, że z pana wypowiedzi wynika, iż partia obarcza nas odpowiedzialnością na równi ze sobą. Więc powtórzę: będziemy się starali, ale wasza odpowiedzialność jest większa...

Leszek Miller: — To prawda, że dysponujemy władzą, choć też zawsze są ograniczenia. Choćby związane z poparciem społecznym, które jest niezbędne. Pan wypowiada się w sposób bardzo skromny i umiarkowany, ale ja znam wypowiedzi wielu członków waszego związku, którzy twierdzą, że władzy w ogóle nie ma. Według nich, jest tylko jedna strona, jedna silna strona: opozycja, „Solidarność”. Ci

natomiast, których akurat ja reprezentuję, to taka komiczna grupka, nie mająca siły i o niczym nie decydująca. Pan reprezentuje inny pogląd, z czego ja się cieszę. Jestem zwolennikiem tezy, że skoro mamy się porozumieć i osiągnąć porozumienie (czego bym bardzo chciał), to musimy się traktować równorzędnie i równą po-

Zygmunt Łupina: — Stan wojenny nie był konieczny, ale nie tylko w tym rzecz. Wyście od początku nie realizowali porozumień sierpniowych. Wyście prowokowali konflikty, choć jest i nasza wina, bo dużo strajków było niepotrzebnych. Ale myśmy sobie dzisiaj założyli, w tych środowiskach, gdzie ja funkcjonuję, że nie będziemy tracić czasu na rozliczanie się, że będziemy ucinali u naszych ludzi takie próby (a one już są). To byłaby niepotrzebna strata energii. Musimy spojrzeć w przyszłość, ale — wybaczy pan — będziemy mocno patrzyli wam na ręce. Pozostajemy nieufni, lecz współpracować trzeba i nie ma innego wyjścia! Cieszę się więc, że pan, jak dowiedział tego podczas spotkania z młodymi w KC i jak skądinąd wiadomo, jest rzecznikiem otwartości partii wobec zachodzących w kraju procesów. Oby wszyscy byli tacy, choć wiemy, że wiele brakuje do tego. Wasze stanowisko na X Plenum rozdzieliło się przecież w bólach. No, ale taki jest pluralizm. Jeżeli zakładamy pluralizm i wielość organizacji, to musimy się liczyć także z różnymi stanowiskami w ich obrębie...

Leszek Miller: — Przepraszam za ten żart, ale taka naprawdę całkowita jednomyślność istnieje tylko na... ementarzu. Wśród żywych natomiast zawsze będą istniały różnice poglądów. Muszę się jednak krótko ustosunkować do zarzutu prowokowania konfliktów przez PZPR. Nie mogę podzielić takiego punktu widzenia. Gdybyśmy mieli więcej czasu, można by sięgnąć do obszerniej dokumentacji. Ale nie sądzę, aby to było konieczne. W ogóle uważam, iż ustalenie jednokowego stosunku do przeszłości wcale nie jest koniecznym warunkiem, by patrzeć w przyszłość.

Zygmunt Łupina: — Zgadzam się z panem.

Leszek Miller: — Interesowałoby mnie jednak, czy pańscy koledzy są skłonni przyznać się do błędów. Czy dalej uważają, że ich poparcie dla restrykcji amerykańskich było słuszne? Bo w kogo one w końcu uderzyły? Nie chodzi o to, by rozdzierać szaty z powrotem. Tak jak my, partia zmieniłmy się i dokonali głębokiej samokrytyki (nawiasem mówiąc, nie widzę innej organizacji społecznej, która by dokonała jej w taki sposób), tak ja bym chciał się przekonać, na ile taki sam proces był udziałem pańskich kolegów. Na ile zrozumieli, na ile są gotowi przed samymi sobą przyznać się, że jednak też się mylili? Czy sądzi pan, że istnieje taka gotowość? Czy istnieje taka refleksja?

Zygmunt Łupina: — Ci, którzy ze mną dyskutują, są w związku od samego początku. Są wśród nich ludzie, którzy siedząc w więzieniu, nigdy nie podali ręki funkcjonariuszowi, którzy nie chcieli się z nimi dobrać do spotkania. Kilka lat temu ja bym na takie spotkanie, jak dzisiejsze, nigdy nie przyszedł. Ale dziś przyszedłem! Dziś z panem rozmawiam! Jestem znany może nie jako ekstremalny, ale jednak człowiek o radykalnych poglądach. Ja byłem członkiem partii, w 57. rzuciłem legitymację. Mówiłem o tym zresztą w wywiadzie dla „Realacji”. Ale ja się przecież też zmieniam. Zmienił się przecież Lech Wałęsa i jego otoczenie. Nie wiem, czy pan zna relację ze spotkania Zbigniewa Bujaka na KUL-u? Polemizował tam ostro z młodymi, ze studentami, gdy odrzucał ich sugestie, jakoby deklaracje porozumienia z naszej strony były tylko taktyczną zagrywką. Odciał się od tego w obecności tysiąca ludzi. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy wszyscy aprobują takie poglądy jak nasze (zresztą nie chcemy nic nikomu narzucać), ale dzisiejsze kierownictwo „Solidarności” jest za porozumieniem i wyciągnięciem wniosków z przeszłości, bo bez tego nie będzie faktycznego postępu dialogu. Zjemy nadzieję i oby się ona ziściła. Dzisiejsze nasze spotkanie tutaj i start „Relacji” uważamy za poważny krok w tym kierunku.

Leszek Miller: — Dziękuję panu, doktorze! Myślę, że słowo „nadzieja” jest dobrym słowem, aby tę naszą rozmowę zakończyć. Nadzieja powinna być dla nas, Polaków, wszystkim: świadomością, symbolem i zachęceniem do działania.

Zamiast komentarza: „Relacje” będą towarzyszyć takim wymianom poglądów i używać im miejsca.

„OSTATNIO UJAWNIONO KONTAKTY JEGO Z MIEJSCOWYMI DZIAŁACZAMI KOMUNY I Z TEGO POWODU ZNAIDUJE SIĘ ON POD OBSERWACJĄ WŁADZ...”

ŁOBODOWSKI, którego prochy po latach tułaczki spoczęły w ubiegłym roku na lubelskim cmentarzu, należał do pisarzy niespokojnych i kontrowersyjnych. Jego biografie dramatyzują ostre zwroty przekonań i poglądów politycznych, a burzliwy temperament kilkakrotnie doprowadzał poetę nawet przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

W Lublinie przeżył swą literacką młodość, do której wielokrotnie we wspomnieniach i utworach powracał. Czas ten już w okresie międzywojennym okrywała mgła tajemnicy, domysłów, pomówień, legend i sensacji, które mierzach ich bohater sam tworzył i upowszechniał.

Powojenny pobyt na emigracji, współpraca z rozgłośnią polską Radia Madryt i wystąpienia antykomunistyczne sprawiły, że należał w Polsce Ludowej do najrzadziej drukowanych pisarzy. Były okresy, gdy cenzura skrupulatnie wykreślała nawet jego nazwisko ze wszystkich publikacji. Nie sprzyjało to poznaniu biografii, a także twórczości Łobodowskiego.

Dopiero w roku bieżącym ma się ukazać w Wydawnictwie Lubelskim pierwszy w kraju wybór jego wierszy. Upamiętni osiemdziesiąt rocznicę urodzin poety i sześćdziesiąt rocznicę debiutu książkowego. Przy tej okazji warto wrócić do okresu burzliwej lubelskiej młodości Łobodowskiego, której epizody zostały utrwalone w aktach sądowych i prokuratorskich. Po upływie przeszło pół wieku wydobynam je i udostępniam czytelnikom, gdyż rzucają sporo światła nie tylko na osobowość twórczą poety, ale ukazują przejawy życia literackiego tego okresu, jak i poszukiwania oraz rozterki całego ówczesnego pokolenia.

Materiały dotyczące Józefa Łobodowskiego są przechowywane w Archiwum Państwowym w Lublinie w zespole Urzędu Wojewódzkiego Lubelskiego, Wydział Społeczno Polityczny, pod numerem 558 oraz w zespole Prokuratora Sądu Okręgowego w Lublinie za lata 1918—1939 pod numerem 249 i 252. Dotyczą one działalności literackiej poety oraz ukazują jego poglądy na sprawę społeczne i polityczne.

Urodził się 19 marca 1909 roku w Purwiskach na Suwalszczyźnie. Był synem Władysława Łobodowskiego i Stefani z Dobrejko-Jarząbkiewiczów. Ojciec jego służył w armii carskiej w randze oficera. Wczesne dzieciństwo poety upłynęło w Lublinie. Po wybuchu pierwszej wojny światowej Łobodowski został ewakuowany w głąb Rosji. Przyszły poeta jako kilkuletni kilkunastoletni chłopiec był świadkiem wydarzeń rewolucyjnych, w czasie których zmarł jego ojciec. Z matką i starszą siostrą wrócił do Lublina dopiero w 1922 roku. Tu rozpoczął naukę w gimnazjum realnym im. Jana Zamojskiego. W 1928 roku został redaktorem dwutygodnika „W słońce”. W roku następnym jeszcze jako uczeń debiutował tomem wierszy „Słońce przez szpary”. Interesowała go literatura oraz aktualne problemy społeczne i polityczne.

Trudna sytuacja rodzinna i rozwijający się kryzys gospodarczy radykalizują jego poglądy. Zapewne pod wpływem lektur, a może i przez kontakty z kręgami lewicy, rozwiązania istniejącej sytuacji upatrywał w rewolucji społecznej na zasadach anarchistycznych. Jako wzór stawiał rewolucję rosyjską i przemiany, jakie dokonywały się w Związku Radzieckim. Poglądy jego nie były jeszcze ugruntowane, ale żywiołowy temperament młodego poety pobudzał go do głośnego demonstrowania swoich przekonań.

W 1931 roku Łobodowski złożył egzaminy maturalne i zapisał się na prawo w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jednocześnie rozpoczął współpracę z miejscową prasą. Swymi publikacjami i wystąpieniami zaczął niepokoić zachowawcze kręgi społeczeństwa. Wydał dwa kolejne tomy wierszy „O czerwonej krwi” i „Gwiezdny psalterz”. Były one bardziej świadectwem lektur skamandryckich poetów, aniżeli własnych twórczych poszukiwań. Zapewne nie zwróciłyby uwagi krytyki literackiej, gdyby nie ingerencja prokuratora i decyzja Sądu Okręgowego o konfiskacie tomu „O czerwonej krwi”.

Łobodowski wykorzystał to natychmiast dla własnej reklamy. W 33 numerze „Kuriera Lubelskiego” ukazała się intrygująca notatka, informująca, iż ostatnią sensacją kulturalnego Lubli-

na jest konfiskata książki Łobodowskiego. „Jak się dowiadujemy — donosił „Kurier” — równocześnie z konfiskatą tomu wytoczono autorowi proces o bluźnierstwo, podburzanie tłumu itp. Na rozprawie sądowej, która odbędzie się wkrótce, bronić będą poetę p.p. Kazimierz Miernowski i apl. adv. Wł. Mazurkiewicz”.

Miernowski był znanym adwokatem, przyjaźnił się z Czechowiczem i pozostawał w bliskich kontaktach ze środowiskiem literackim Lublina. Podjęcie obrony młodego poety przez autorytet prawniczy nadawało sprawie odpowiednią rangę. Nie zachowały się

ŻYWOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

Józef Zięba

akta dotyczące tej sprawy. Miernowski zapewne bronił skutecznie, skoro oskarżony, poza konfiskatą tomu, nie otrzymał żadnej kary. Konfiskata temu zaciążyła jednak na życiorysie Łobodowskiego.

O wszczęciu postępowania karnego prokurator powiadomił 1 lutego 1932 roku rektora KUL, ks. J. Kruszyńskiego. Skutek był niemal natychmiastowy. Już 5 lutego na posiedzeniu Senatu postanowiono relegować Łobodowskiego z uczelni. W ślad za tą decyzją zostało nawet rozesłane do wszystkich państwowych uniwersytetów poufne pismo, informujące, iż „student 1 roku prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Józef Łobodowski, za szerzenie pornografii i bluźnierstwa w wydanych przez siebie utworach poetyckich, skonfiskowanych przez władze prokuratorskie, decyzją Senatu dn. 5 lutego r.b. został z Uniwersytetu relegowany”. (Z akt osobowych J. Łobodowskiego, Archiwum KUL).

Obecnie może dziwić tak szybka i kategoryczna reakcja Senatu w znacznej skądinąd z dużej tolerancji uczelni. Po otrzymaniu poufnego pisma prokuratora, Senat natychmiast usunął studenta, a rektor wysłał do wszystkich w kraju uniwersytetów pismo, które można traktować jak „wilczy bilet”. Łobodowski już praktycznie nie mógł ubiegać się o przyjęcie na jakikolwiek uniwersytet i kontynuować rozpoczętych studiów.

Nie zachowały się protokoły z posiedzeń Senatu. Trudno więc obecnie domyślać się, jakie dodatkowe motywy przemawiały za podjęciem takiej właśnie decyzji. Można jedynie powątpiewać, by wszyscy członkowie Senatu mogli w tak krótkim czasie zapoznać się z tomem wierszy, który był już skonfiskowany. Bez wątpienia musiały istnieć jeszcze inne powody skłaniające władze uczelni do natychmiastowego działania.

Jak wspominałem, w zachowawczych kręgach Łobodowski miał już ustaloną opinię. Wyrzucił ją ks. Z. Goliński, polemizując z nim w „Głosie Lubelskim” (10 II 1932) w artykule „Antykatolickie wystąpienie „Kuriera Lubelskiego” pod pretekstem opinii publicznej”. Ks. Goliński pisał: „Znając p. Łobodowskiego i z jego wypowiedzi, artykułów w pismach i poezji, stwierdzić trzeba, że dominantą w jego usposobieniu jest nienawiść do religii i Kościoła katolickiego”.

Konfiskata tomu, relegowanie z uczelni i podobne do powyższej opinii stworzyły wokół Łobodowskiego atmosferę sensacji. W radykalnych kręgach młodzieży i inteligencji zyskał na popularności jako „poeta skonfiskowany”. Trzeba przyznać, że potrafił okoliczności te odpowiednio zdyskontować.

Już 1 marca 1932 roku podpisał jako redaktor naczelny i odpowiedzialny dwutygodnik młodej demokracji pt. „Trybuna”. Całą trzecią stronę okładki pierwszego numeru zajął na reklamę mającego się ukazać następnego tomu swoich wierszy. Warto przytoczyć treść tego ogłoszenia:

„Nowość! Nowość! W najbliższych dniach ukaze się w handlu księgarskim tom pczcji Józefa Łobodowskie-

go pt. »Gwiezdny psalterz«. Tom ten miał się ukazać razem z książką »O czerwonej krwi«, która w międzyczasie została z polecenia prokuratora SKONFISKOWANA!”

Konfiskata była więc doskonałą reklamą dla kolejnych poczyną literackich, redaktorskich i publicystycznych Józefa Łobodowskiego. Autor tomu „O czerwonej krwi” coraz bardziej radykalizował swoje wystąpienia, nie raz świadomie prowokując dalsze ingerencje cenzury i prokuratora.

Z dniem 5 maja 1932 roku przestał być redaktorem naczelnym i odpowiedzialnym „Trybuny”, ale pozostał jesz-

nałozyl 2 lipca areszt, uchylony dzień później przez Sąd Okręgowy w Lublinie.

Łobodowski triumfował. 14 października 1932 roku objął po Czechowiczu stanowisko redaktora naczelnego i odpowiedzialnego dziennika „Kuriera Lubelskiego”. Nie uszło to uwagi wyczułonego już Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, który wysłał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych informację, iż nowy redaktor „Kuriera”: „jest byłym studentem KUL, relegowanym za przekonania komunistyczne i usunięty za komunistyczne poglądy ze Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Ostatnio ujawniono kontakty jego z miejscowymi działaczami komuny i z tego powodu znajduje się on pod obserwacją władz bezp. publ. W szeregu artykułów zamieszczonych w »Kurierze Lubelskim« poglądy komunistyczne Łobodowskiego znalazły wyraźne oblicze”.

Sporządzający tę informację mógł mieć na uwadze między innymi artykuł Łobodowskiego „Dnieprostrój symbolem”, za który został skonfiskowany numer „Kuriera” z 24 października 1932 r.

Wcześniej, bo już z datą 1 października, Łobodowski wydał pierwszy numer miesięcznika „Barykady”. Tu też nie omieszkał zareklamować się jako „poeta skonfiskowany”. Informował swoich czytelników, że „Józefowi Łobodowskiemu, którego książka »O czerwonej krwi« została w styczniu bieżącego roku skonfiskowana, doręczono przed dwoma miesiącami akt oskarżenia. Między innymi zarzuca się tam podburzanie do nieposłuszeństwa władzom, szerzenie nienawiści klasowej, celowe obrażanie uczuć religijnych, bluźnierstwo i wreszcie obrazę moralności publicznej przez wypowiedzanie bezwstydnym myśli i wyrazów — oskarżonemu grozi cztery lata ciężkiego więzienia”.

(cdn.)



Józef Łobodowski (pierwszy z lewej) z matką, ojcem i siostrami około 1914 r. w Lublinie. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum im. J. Czechowicza w Lublinie. Repr. Waldemar Stępień

Józef Łobodowski

SŁOWO

O

PROKURATORZE

panie prokuratorze! —
protestuję —
nie stercz jak szubienica
u trybunalskich progów —
prześń pan syczeć jak żmija
zapytaj księdza —
napisano w dekalogu
nie zabijaj!

deszczem popiołu i siarki
śmiertelnym wałem
na twarze miastom i łodom
sypie się w ciszy zdrtwiałej
to jedno słowo
ż a d a m!

czego — — —
śmierci? więzienia?
elektrycznego fotela?
tak? —
zażądaj chleba
dla głodnych
od alabamy do czyty —
dla wszystkich gnijących w celach
prokuratorze!
tyś syty!

nie zdrzży ręka — —
piękny jest gest patetyczny — —
a tylko w czarnej drukarni
zecerzy z sinymi usty
ułożą w szarej matrycy:
— punktualnie o szóstej
zawisł na szubienicy!

kawał konopnej przędzy
na drżącą szyję
założy człowiek człowiekowi
brat bratu
spłynie z ust strumyk cieniutki
i spurpurowi
węzeł straszego krawatu...

obywatele, ludzie
ja który jestem młody,
ja który pragnę żyć
wyjdę dziś na ulicę
i będę wołał na całe miasto
rozwalcie szubienicę...

czerwcowe wzbierają dni
w poprzek dławiającym bastyliom —
oto odradza się świat
najprościej i najzwyczajniej — —
ze wschodu, zachodu, południa
jest nas milionów milion
padają czarne więzienia
rzą poetyckie stajnie...

a kiedy o szóstej godzinie
przyjdzie milczący kat
i rękawy koszuli zawinie — — —
zza krat
upadnie promień słońca —
przesączy się w kasztanów zieleni
jak w ciężkich storach
i bladym światłem otoczy
bezwładną skroń prokuratora!

Z OSTATNIEJ CHWILI

Życie wyprzedziło scenariusz produkcyjny „Relacji”. Kiedy 26 stycznia br. (czwartek) pracowaliśmy nad tzw. łamaniem niniejszego numeru, popularny „Teleexpress” ogłosił to, co nad wynalazkiem prof. Tołpy „wisiało” od dłuższego czasu. Barbara Piasecka-Johnson, właścicielka koncernu „Johnson-Johnson”, wykupiła prawa

wynalazcze oraz know-how (technologię) produkcji. W tym celu powołała specjalne przedsiębiorstwo TORF CORP., które z tą chwilą przejmie wszelkie sprawy związane z wytwarzaniem i dystrybucją preparatu w świecie.

Tak więc o problemach wrocławskiego uczonego oraz jego perypetiach możemy mówić w czasie przeszłym. Życie nie znosi próżni. Nam, Polakom, pokazano to po raz kolejny.

(Red.)

LAKONICZNA informacja PAP sprzed dwu miesięcy o uzyskaniu przez preparat profesora Stanisława Tołpy akceptacji kompetentnej komisji znów wywołała ożywienie. Z notatki udało się wyczytać niewiele. Nie podano składu komisji, nie sprecyzowano nawet jej charakteru.

Natomiast multimilionerka Barbara Piasecka-Johnson, właścicielka amerykańskiej firmy farmaceutycznej „Johnson-Johnson” z New Jersey, wątpliwości nie ma i żadnych komisji nie potrzebuje. Ona chce po prostu zakupić wynalazek wrocławskiego uczonego i od razu rozpocząć produkcję specyfiku. Póki co, tylko w 1988 roku, sfinansowała nowoczesne wyposażenie pracowni profesora, wykładając na ów cel blisko 200 tysięcy dolarów. Również z jej inicjatywy preparat był testowany w Stanach i uzyskał bardzo obiecujące wyniki. Zainteresowanie pani Basi (dla przyjaciół: „Forbes”) z jakichś tam powodów było u nas skrywane i trudno przypuścić, aby stała za tym interesy koncernu „Polfa”, chcącego — powiedzmy — przebić ofertę amerykańskiego konkurenta.

dokładnie w takim samym składzie chemicznym. Wobec braku podobnych możliwości upadła kwestia produkcji głośnego swego czasu antybiotyku profesora Lachowicza, skutecznego przeciwnik gronkowcowi złościstemu. Profesor Tołpa nie jest farmakologiem, z ogromnym przekonaniem od wielu lat utrzymuje wiarę w jakość swego wynalazku. Przyznaje, że to nawet trochę... smutne.

Mimo zatem niedawnych optymistycznych ustaleń, atmosfera wokół preparatu wcale się nie przejaśniła. Świat farmakologiczny pozostaje wciąż (w swej ogromnej większości) sceptyczny. Czy można założyć, iż gremium czołowych polskich farmakologów bojkotuje preparat Tołpy w imię jakichś partykularnych interesów? Czy można założyć, że świat, skupujący na giełdzie pomysłowości wszystko, co pozytywne, ignoruje rewelacyjne odkrycie?

Każdy, kto zetknął się z dramatem ludzkiego cierpienia, wie, że bywają takie sytuacje, gdy oficjalna medycyna kapituluje, natomiast działania paramedyczne okazują się skuteczne. Są to z reguły efekty krótkotrwałe, ale nie spo-

kać oczu na fakt, iż preparat ten był badany w naszym Instytucie z wynikiem negatywnym, że komisja pod kierunkiem docenta Roszkowskiego z Warszawy także go odrzuciła. Pamięta pan zapewne sprostowanie na łamach „Polityki” co do metod interpretacji tamtej ekspertyzy. Otoczenie profesora Tołpy ma niestety tendencje do bagatelizowania niewygodnych dla siebie faktów. Wiara czyni cuda, to prawda, ale naszym obowiązkiem jest uprawianiem wiedzy. Cały zespół profesora pracował u nas przez dwa lata, wyniki tych badań powinny być dostępne. Kłopot polega jednak na tym, że mamy tu do czynienia z przerosiem emocji nad dokumentacją. Nie wykluczam, że ten lek może mieć pewne pozytywne zastosowanie, uważam jednak, iż w żadnym wypadku nie stanowi klucza do rozwiązania problemu. Dlaczego profesor nie udestępnia preparatu w postaci leku ziołowego? Pochodną torfu jest przecież borowina. Po niej ludzie także czują się lepiej”.

Sam profesor Tołpa sprawia wrażenie człowieka zadowolonego z postępu

TOŁPA DAŁ NADZIEJĘ

Wiesław Horabik

Z braku informacji o tych akurat konkretnych, wzmianka PAP wystarczyła, by we Wrocławiu pod zakładem prof. Tołpy znów zaczęły gromadzić się tłumy, by biedni, śmiertelnie chorzy ludzie znów uwierzyli. Igranie z ich uczuciami, to rzecz moralnie dwuznaczna. Ale przecież odbieranie im szansy na wyleczenie byłoby zbrodnią jeszcze gorszą.

Tymczasem lekarze, mający na co dzień do czynienia z nowotworowym przekleństwem, są do ostatnich rewelacji nastawieni - nieufnie. „Tropienie sensacji, to spora część prawdy o pańskim zawodzie — powie mi jeden z nich. — Ja jednak nie chcę o tym rozmawiać. Były już wyciągi z huby i jaśkółcze ziele — pozwólcie nam po prostu pracować i nie czyńcie krzywdy chorym”. Podobnego zdania jest profesor Zdzisław Kleinrok, farmakolog, rektor Akademii Medycznej w Lublinie. (Profesor był członkiem poprzedniej komisji, która odrzuciła preparat jako niedoskonały. Przyznaje, że o rezultatach najnowszej ekspertyzy nie jest jeszcze do końca poinformowany). „Apeluję o rozwagę — mówi. — Osobiście sądzę, że działanie preparatu jest wciąż wątpliwe. Wymaga on sprawdzenia na szerokim materiale klinicznym. Wyniki laboratoryjne to jedynie początek drogi. Materia całej tej sprawy jest niezwykle delikatna. Beznadziejnie chorzy ludzie chwytają się każdej szansy. Tymczasem było już tyle wynalazków-meteorów w historii onkologii. Rezygnacja z uznanego, choć dającego ograniczone działanie leku, na rzecz nie sprawdzonej rewelacji może skazać pacjenta na śmierć”.

Jeszcze bardziej jednoznacznie formułuje swoje poglądy profesor Misztal z Instytutu Farmakologicznego w Krakowie: „Uważam, że na pewno nie jest to preparat przeciwnowotworowy. To już zostało ostatecznie ustalone. Treść komunikatu komisji rozumiem właśnie w ten sposób, jako delikatne wycofanie się z tych największych nadziei. Co zaś do immunostymulujących właściwości preparatu, zgodziłbym się z orzeczeniem, choć nie ukrywam również i tutaj swoich osobistych obaw. Podstawowym problemem w tym przypadku wydaje się bowiem kwestia replikacji leku, a więc dylemat, czy uda się go odtwarzać

sob otrzaskać się z ich magii. Wysłuchałem wielu relacji o „cudownym” uleczeniu lub przynajmniej przedłużeniu życia chorych, których lekarze skazali już na śmierć. Uznanie należy się tym, którzy nie zamykają przed pacjentem i takiej szansy. Nie należy przecież bagatelizować choćby psychologicznej sfery oddziaływania. Czasami ma ona wręcz decydujące znaczenie. Cudów w medycynie nie ma, istnieją jednak indywidualne reakcje chorych, istnieją wręcz utłomności ludzkiej wiedzy. „Wszystko, co stanowi choćby najmniejszy krok na drodze zwalczania tej strasznej choroby, warte jest wsparcia — mówi dyrektor Marcinek z Departamentu Leków Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. — Tak też patrzę na preparat profesora Tołpy. Raport komisji jeszcze nie dotarł na moje biurko, ale informacja prasowa sprawiła mi ogromną satysfakcję. Chciałabym, aby w Nowym Roku ten lek był przyjazny ludziom”.

Niedawne orzeczenie Instytutu Leków w Warszawie (opublikowanie jego pełnego brzmienia rozwiałoby niejedną wątpliwość) głosi, iż „potwierdzono immunomodulacyjne właściwości tego leku, czyli jego zdolność do hamowania rozrostu komórek chorych i pobudzenia aktywności komórek zdrowych”. Zdaniem jednak Polskiego Towarzystwa Onkologicznego, nie oznacza to, iż otrzymaliśmy gwarancję leczenia każdego nowotworu, a nawet nowotworów w ogóle. Każdy przypadek chorobowy jest bowiem przypadkiem samodzielnym, lek nie został jeszcze przetestowany na odpowiednio szerokim materiale klinicznym, wymaga dodatkowych badań. Ponadto nasza wiedza o immunologii wciąż jeszcze pozostaje niepełna i pozabawiona systematyki.

Profesor Mędziński z Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej we Wrocławiu tak charakteryzuje problem: „Nasza wiedza na temat biologii komórki jest nadal skąpa. Trudno zatem rozstrzygnąć jednoznacznie o immunomodulujących właściwościach jakiegokolwiek preparatu. To, że w przypadku leku profesora Tołpy stwierdzono jego nietoksyczność, stanowi już samo w sobie duże osiągnięcie. To naprawdę cieszy. Zawsze życzyłem profesorowi sukcesów, nie można wszakże przymy-

swoich prac, nie wygląda jednak na kogoś, kto właśnie świętuje międzynarodowy triumf. „Miło mi — mówi — że 18 grudnia na konferencji prasowej we Wrocławiu wielu zagranicznych naukowców doceniło zalety mojego leku”. To wszystko. Dalej pozostaje już tylko namiętna pasja.

Jest wckół tej sprawy wiele niedopowiedzeń: opinie luminarzy farmakologii posiadają znamiona osobistych przytyków i mają luki myślowe, ministerstwo oferuje jedynie werbalne wsparcie. Grupa entuzjastów leku hałaśliwie go rekomenduje. Czy nie warto byłoby zatem zwrócić się o jeszcze jedną, niezależną weryfikację?

Amerkański Instytut Badań nad Rakiem prowadzi od lat intensywną działalność badawczą, ciesząc się opinią najbardziej kompetentnej w tej dziedzinie placówki naukowej. Ma na swoim koncie niemałe osiągnięcia. Do instytutu mogą wysyłać swe propozycje wszyscy, którzy żywią nadzieję, iż ich eksperymenty pomogą w leczeniu chorób nowotworowych. Gdyby taki wynalazek okazał się skuteczny, autor zachowuje prawa patentowe, a środek, po serii odpowiednich testów, zostaje skierowany do produkcji. Od badań i analiz, a także przesyłki, nie pobiera się żadnych opłat. W tym wypadku świat jest solidarny. Na pytanie, czy preparat profesora Tołpy przeszedł testy w amerykańskim instytucie, otrzymałem nieodmiennie wymijające odpowiedzi. Jeśli był testowany, należałoby opublikować wyniki badań. I to nie dlatego, że „wszystko, co amerykańskie, się świeci”, lecz po prostu dlatego, że łatwiej jest diagnozować coś w oparciu o solidną bazę aparaturową, a także dlatego, iż cała sprawa ma przecież wymiar ogólnoludzki.

Póki co, należałoby przychylić się do konstatacji, iż wysiłki profesora Tołpy przyniosły postęp (uznanie nietoksyczności preparatu oraz jego właściwości immunostymulujących), brak trzeba i to przyznać, jednak nadmiaru powodów do optymizmu. Zakładając nawet radykalny przełom w badaniach nad tym preparatem, jego powszechne zastosowanie to sprawa nie dająca się określić przyszłości.

KAŻDY SOLIDNY ZAMEK MUSI MIEĆ SWOJĄ LEGENDĘ

W PIENINACH białe, mroźno. Śnieg przysypał suchy pień dębu Paloczajów. Upadek rodu hrabiów Horváthów z Palocsy miał się rozpocząć od upadku tego potężnego drzewa. Tak wywróżyła stara Cyganka.

21 stycznia Anno Domini 1823 ówczesny pan na Niedzicy, hrabia Andrzej Horváth — znany w całej okolicy z kulanki, pijatyk, zajazdów — wydał wielki bal z okazji zakończenia renowacji zamku. Dwieście osób bawiło się przez trzy dni i trzy noce. Wino płynęło strumieniami, muzykantom andlały ręce ze zmęczenia.

Trzeciego dnia — gdy muzyka umilkła, a goście zaczęli zbierać się do odjazdu — hrabia poprosił, by wszyscy spotkali się jeszcze na chwilę w największej zamkowej sali: na strzeżeniennym. Kiedy tak się stało — drzwi zawarły się z hukiem, a służba wtaczająca na środek komnaty ogromną kanapę. Hrabioscy hajducy rozciągali na tym meblu — nie bacząc, czy to jasnie wielmożny, czy szlachetna dama — a potężny pachol wlepił delikwentom w sempiterną trzy tegie razy łopata, aby do końca życia zapamiętali, że uczestniczyli w niezwykłej, wspaniałej i hucznej uroczystości, sprawionej przez pana Andrzeja Horvátha.

W niedzickim zamku jest dzisiaj muzeum i dom pracy twórczej Stowarzyszenia Historyków Sztuki, a pieczę nad zamkiem sprawuje kurator, dr Stanisław Michalczyk; historyk sztuki, naukowiec, specjalista od konserwacji zabytków.

Doktor Michalczyk, absolwent Liceum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, w połowie lat pięćdziesiątych ukończył historię sztuki w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Przez wiele następnych lat pracował tam naukowo i prowadził zajęcia ze studentami. Jako malarz związał się z lubelską grupą plastyczną „Zamek”. Z Lublina wyjechał w 1972 roku; objął wówczas funkcję zastępcy dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich PKZ w Kielcach.

Jedenaście lat temu zdecydował się na Niedzicę. Osiedlił tuż z żoną, Ireną oraz trójką dzieci: Magdą (obecnie studentką historii sztuki na KUL), Mateuszem i Dominiką. Nadal pracuje naukowo: zajmuje się historią zamku w Niedzicy, historią Czorsztyna oraz Polskiego Spisza. I walczy: z niszczeniem i dewastowaniem środowiska,

któremu niesie zagładę budowa wielkiej zapory na Dunajcu, wznoszonej akurat u stóp zamkowego wzgórza.

Każdy solidny zamek ma swoją historię i musi mieć swoją legendę. Zamek w Niedzicy jest bardzo solidny i dlatego ma dużo legend. Franek Szydłak, zamkowy przewodnik, może opowiedzieć: o wróżbie Cyganki; o Dębie Paloczajów; o Białej Damie spod zamkowego wzgórza; i o tym, że gdy w Wigilię wybije północ i dzwon na pasterkę uderzy — piękna inkaska księżniczka Umina, spoczywająca w srebrnej trumnie, ukrytej gdzieś w lochach zamku — otworzy na chwilę oczy...

Frankowi, z dziada pradziada związanemu z tutejszą ziemią i tutejszym zamkiem, Niedzica zawdzięcza niejedno. To właśnie on, po wojnie, kiedy stara budowla zionęła pustką i szła w ruinę, zamknął główną bramę na kłódkę i przyjął samorządnie rolę strażnika i opiekuna zamku. Kiedy w 1949 roku niedzicki zamek został oddany przez państwo Stowarzyszeniu Historyków Sztuki — Franek Szydłak pozostał w nim jako dozorca, a że nikt nie potrafił tak pięknie i barwnie opowiadać o dziejach Niedzicy — otrzymał z cząstką „patent na przewodnika” po muzeum.

Osoba Franka Szydłaka wiąże się z najstojniejszą miejscową legendą. To o „Testamencie Inków”, ukrytym jakoby pod koniec XVIII stulecia w zamkowych murach i odnalezionym wkrótce po II wojnie światowej przez jednego ze spadkobierców, Andrzeja Benesza z Bochni. Wśród nielicznego grona świadków owego znaleziska był podobno Franek.

Student Uniwersytetu Jagiellońskiego, Andrzej Benesz — po uzyskaniu zgody od wojewódzkiego konserwatora zabytków — przystąpił do poszukiwań i odkopał pod progiem bramy wejściowej do tutejszego „średniego zamku” ołowianą tuleję. Działo się to w obecności sołtysa wsi Niedzica, przedstawicieli milicji oraz kilku jeszcze innych osób w dniu 3 lipca 1946 roku.

Wewnątrz tulei znajdował się charakterystyczny pęk rzemieni: węzłkowe pismo Inków, tzw. „quipu”. Znalezisko miało być z dawną poszukiwanym przez rodzinę Beneszów „Testamentem Inków” czyniącym jednego z przodków Andrzeja Benesza (Antonia) spadkobier-

cą królewskiego skarbu Inków i dziedzicem królewskiej korony...

Andrzej Benesz twierdził, że wskazówki co do miejsca ukrycia „quipu” znalazł w rodzinnym dokumencie z końca XVIII wieku. Ów dokument spisany na zamku w Niedzicy, dotyczył miał głównie adopcji matego Antonia,

Mirosław Derecki

syna inkaskiej księżniczki Uminy. Adoptującym był Wacław Benesz-Berzewicz, baron de Dondangen, właściciel zamku Krumłów na Morawach. 21 czerwca 1798 roku w niedzickiej kaplicy zamkowej Wacław Benesz podpisał w obecności świadków, wśród których znajdować się mieli także przedstawiciele „Rady Inków”, dokument, który brzmiał w swej końcowej części, jak następuje:

„[...] Szczególnie obliguję się, za namysłem i życzeniem Prześwietnej Rady [Inków], Antoniomu Inkasowi wiernie wyjawiać powierzoną mi w owym jedynie celu tajemnicę Inkasów, jako z trzech wieków i w trzech częściach, skarbu złożonego. A to jako manu propria, dla pamięci i confirmacji, pod dyktando zapisuję. Pierwszej, od Inkasa Tupaca Amaru — w Titicaca, dalej: za sprawą jego pradziada — pod Vigo zatopionej, i ultimo — przez Prześwieconą Radę Inków — złożonych tu nieużytych sum.

Na czas absencji Stryja mego Sebastjana, obliguję się na ostrożnej mieć uwadze umówiony i przyrzeczony przez panów Horváthów Paloczajów, w zamian za pożyczone sumy, zwrot ongi bezprawnie rodzinie naszej odebranego gniazda naszego „Dunajecz”, któren to zamek, my — Sebastjan i Wacław Berzewicze, jako synów nie posiadający, deklarujemy z krwi naszej pochodzącemu Inkasowi Antoniomu na azyl bezpieczny, a akademią uciekinierom i wygnancom z Jego ziemi i rodu, zapisac.

Zaprzysiężono wobec wzywz wymienionych, Anno Domini 1798 Die 21 Juny w kaplicy na zamku Dunajecz”.

Andrzej Benesz, student UJ, odnalazł cytowany tu we fragmencie dokument w archiwum kościoła Św. Krzyża w

Krakowie. By zrozumieć, co stało u podstaw jego powstania — trzeba się cofnąć w historię o lat niespełna pięćset od daty sporządzenia „Testamentu”.

W 1325 roku pojawia się w kronikarskich zapisach pierwsza informacja dotycząca „castrum Dunayecz” — zanku należącego do Rykolfi i Kokesza, synów węgierskiego rycerza Rykolfi Berzewiczy. Chodzi, oczywiście, o zamek niedzicki, wzniesiony na niedostępnej skale zawieszony nad Dunajcem.

Przez prawie półtora wieku zamek pozostawał we władaniu rodziny Berzewiczy; do czasu, gdy przeszedł w posiadanie spiskiego żupana Emeryka Zapolyi. Następnie stał się własnością

KIEDY UMINA

jego syna, Jana Zapolyi, późniejszego króla węgierskiego. Ten zaś z kolei podarował go swemu polskiemu stronnikowi, wojewodzie sieradzkemu Hieronimowi Łaskiemu. W 1589 roku Łascy sprzedali zamek węgierskiej rodzinie Horváthów z Palocsy, zwanych przez miejscową ludność Paloczajami. Mury zamku nosiły już wówczas ślady licznych walk i potyczek stoczonych u jego bram; przez pewien czas był on siedzibą rycerzy-bandytów, napadających na kupców ciągnących szlakiem wzdłuż Dunajca.

Hrabia György Horváth de Palocsa przebudował gruntownie starą warownię, zmieniając ją w rezydencję obronną. Zastawiony w 1670 roku rodzinie Giovanellich — wrócił niedzicki zamek w 1776 roku („w stanie nie nadającym się do zamieszkania”) z powrotem w ręce Paloczajów. Było to na dwadzieścia dwa lata przed spisaniem interesującego nas dokumentu i ukryciem tutaj „Testamentu Inków” przez wysłanników ich „Prześwietnej Rady”. Jak Inkowie, z leżącego „na końcu świata” Peru znaleźli się na węgierskim zamku Horváthów-Paloczajów nad polskim Dunajcem?!

Tu trzeba sięgnąć do relacji znalazcy dokumentu, Andrzeja Benesza. (Relację tę potwierdził Benesz ponownie w roku 1955, spełniając prośbę inż. Alfreda Majewskiego, który zbierał wówczas materiały do książki: „Czorsztyn, Niedzica — dwa zamki pienińskie”). Powołując się na rodzinne przekazy, twierdził, że cała historia zaczęła się za sprawą jego dalekiego przodka Sebastiana Berzewiczy, który w połowie XVIII wieku znalazł się w Peru. Tam poznał dziewczynę z arystokratycznego inkas-

„POLMOS” PRZED SĄDEM (3)

CZERWONA OBERŻA

izabella Wlazłowska

PADŁO nazwisko kolejnego oskarżonego — Józefa K., zastępcy dyrektora do spraw technicznych Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie.

Prokurator oskarża go o zagarnięcie na szkodę zakładów 86 butelek wódki wartości 66 220 zł. Część tego alkoholu Józef K. przekazał w postaci korzyści majątkowych innym osobom w związku z pełnionymi przez nie funkcjami publicznymi.

Wśród osób, którym Józef K. przekazał wódkę, prokurator wymienia Jerzego M., kierownika działu inwestycji przedsiębiorstwa „Polmos” w Warszawie, oraz Józefa S. pełniącego tam funkcję zastępcy dyrektora ds. technicznych. Następnie padają nazwiska członków dyrekcji przedsiębiorstwa

„Techma” w Lublinie: Stanisława W., Zdzisława K. i Ryszarda L., którym Józef K. wręczył 6 butelek wódki wartości 5 700 zł w związku z terminową realizacją zadań inwestycyjnych, oraz nazwisko wiceprezesa Spółdzielni Mieszkaniowej „Czechów” w Lublinie.

Prokurator oskarża też Józefa K. i Alinę Ł. jako zastępców dyrektora oraz Franciszka Ł. jako dyrektora Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie o to, że przekroczyli swoje obowiązki w zakresie prawidłowego gospodarowania mieniem zakładów. Polecali bowiem podległym pracownikom wydawanie i dostarczanie sobie alkoholu bez ewidencji, a następnie przekazywali go na cele reprezentacyjne miejscowych jednostek administracyjnych i politycznych, a

także używali na cele reprezentacyjne własnego zakładu. I w ten właśnie sposób rozdysponowali 811 butelek alkoholu wartości nie mniejszej niż 851 770 zł. Podpisywali także sprawozdania z produkcji, zawierające nieprawdziwe dane dotyczące ilości zużytego do produkcji spirytusu i wyprodukowanych wódek.

Prokurator oskarża też trójkę dyrektorów o to, że swoją działalnością spowodowali zwalnianie od kontroli osobistej (dokonywanej przez zakładowych rewidentów) osób, które wychodziły z biurowca z alkoholem. Były to tzw. osoby uprzywilejowane.

Grażyna K. przez pierwszy rok pracy w „Polmosie” zatrudniona była w dziale rewizji. W śledztwie powiedziała jako świadek:

— Dyrektor Ł. wydał mi polecenie. Resztą takie samo polecenie wydał i innym rewidentom, aby w odniesieniu do jego gości lub gości dyrektorki Aliny Ł. nie robić trudności z wejściem do zakładu. W praktyce wyglądało to tak, że dzwoniłam do dyrektora Ł., który wydawał decyzję, by daną osobę wpuścić i wypuścić z zakładu bez żadnej kontroli. Była to grupa osób, które w latach 1984-86 wielokrotnie odwiedzały dyrekcję. Po wizycie osoby te odprowadzane były przez dyrektora lub zastępcę i wychodziły z ciężkimi torbami, paczkami lub siatkami, których nie wnosiły do zakładu. Nie mogłam ich sprawdzić, bo miałam to zakazane. W torbach i siatkach prawdopodobnie był alkohol, no bo co innego mogło w nich być. Niektórzy goście wjeżdżali do zakładu swoimi samochodami. Kilka razy w roku bywał wojewoda lubelski, przyjeżdżał też prezydent miasta. Wizyty tej grupy osób szczególnie nasilały się w okresach przedświątecznych.

— Rozmawiałam o tym z rewidentami — kontynuowała zeznania Grażyna K. — twierdząc, że są to poważne kradzieże. Chyba ktoś doniósł dyrekcji o moich uwagach, bo w listopadzie 1986 r. zapadła decyzja o przeniesieniu mnie na stanowisko sprzątaczk. Poszłam do dyrektora Ł. zapytać, dlaczego mnie tak potrako-

kiego rodu i wkrótce pojął ją za żonę. Owocem tego związku była córka, której nadano imię Umina.

Osierocona przez matkę piękna Umina, po dojściu do pełnoletności, posłużyła Andream, bratanek Tupaca Amaru, jednego z przywódców powstania Inków przeciw hiszpańskim kolonizatorom. Gdy powstanie upadło, Sebastian Berzewicz postanowił powrócić do Europy wraz z córką i zięciem Andream. Ogromny, przez wieki gromadzony skarb Inków, znajdujący się w rękach powstańców, podzielono wówczas na trzy części. Pierwszą zacięto w jeziorze Titicaca w Andach; drugą — już dopływając do Europy — w zatoce Vigo u brzegów Hiszpanii; trzecią część uciekinierzy pozostawili przy sobie. Osiadli się w Italii, ale...

W 1797 roku Andreas (noszący także nazwisko — Tupac Amaru) został zamordowany w tajemniczych okolicznościach. Wówczas Sebastian Berzewicz,

sy. Jaku Kurek był „pierwszy; w 1947 roku opublikował w „Dzienniku Polskim” artykuł pt. „Krew Atahualpy nad Dunajem”.

Pisano później na ten temat jeszcze niejednemu raz, najczęściej w sposób bezkrytyczny. Dopiero w 1956 roku A. Kowalska-Lewicka opublikowała na łamach „Ziemi” obszerną pracę zatytułowaną: „Problem niedzińskiej legendy” i wykazała oczywiste sprzeczności w relacji Andrzeja Benesza. Podważyła też zeznania świadków znaleziska na zamku w Niedzicy i autentyczność „dowodów rzeczowych” oraz dokumentów.

Faktem jest, że poza świadkami odkopania „quipu”, nikt później już „Testamentu Inków” nie widział. Andrzej Benesz miał go — jak twierdził — oddać w Krakowie przedstawicielowi konsulatu „jednego z krajów Południowej Ameryki” dla zbadania i rozszyfrowania, a potem ślad wszelki po „quipu” zaginął. Co się zaś tyczy dokumen-

Dzisiaj, w trzydzieści z górą lat po odnalezieniu w Niedzicy „Testamentu Inków”, wiadomo już, że węzłkowe pismo Inków było przez nich używane jako zapis liczbowy, a nie — słowny. Więc niedzińskie „quipu” mogłoby być wyczeniem dóbr w złocie i kamieniach szlachetnych, ale w żadnym wypadku nie mogło zawierać wskazówek dotyczących miejsca ukrycia skarbu, a tym bardziej nie było „dokumentem spadkowym”.

Trzeba na koniec podkreślić, że w późniejszych latach Andrzej Benesz bardzo niechętnie powracał do sprawy „Testamentu Inków”. 26 lutego 1976 roku zginął tragicznie w wypadku samochodowym.

Jan Józef Szczepański w opublikowanej w 1980 roku powieści „Kipu” — do której temat zaczerpnął m. in. z niedzińskiego podania — zwraca uwagę na znane w angielskim piśmiennictwie tzw. „hoaxes”, osiemnastowieczne utwory mistyfikujące historię (często nawiązujące do starych kultur indiańskich), które tak umiejętnie operowały wpisanymi „w kanwę autentycznych faktów historycznych” faktami, że udowodnienie ich autorom nieprawdy było właściwie niemożliwe. Nierzadko tego rodzaju zabiegi służyły celom zgola utylitarnym. Na przykład, gdy chodziło o „dopisanie” wygodniejszego dla jakiegoś rodzaju fragmentu jej historii. Choćby po to, aby wytłumaczyć obecność w drzewie genealogicznym mocno „podejrzanego” prapradziada, co do którego

krażyły plotki, że wywodził się z niezbyt „prawego” łoża...

Może coś podobnego zdarzyło się także i w rodzinie Beneszów, a Andrzej Benesz poszedł tylko, nieświadom niczego, „tropem” podania przekazywanego z ojca na syna?

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie: mówiczo mi o nim na zamku w Niedzicy. Chodzi o pogląd pewnego wybitnego polskiego znawcy prawa (jego nazwiska nie podaję, bo nie zostałem do tego upoważniony). Otóż twierdzi on, że przebywając podczas II wojny światowej w Szwajcarii jako żołnierz internowanej tam polskiej dywizji gen. Prugor-Ketlinga, przeczytał zupełnie przypadkowo popularny francuski romans. Jego treść prawie jota w jota zgadzała się z podaniem o testamentie skarbie Inków oraz niezwykłych perypetiach bohaterów tej całej historii. Oczywiście: według francuskiego romanisu, w innym kraju znajdował się zamek, inne były nazwiska i imiona bohaterów. Czy Andrzej Benesz czytał ten romans — nie dowiemy się nigdy.

(Podczas pracy nad reportażem autor korzystał m. in. z materiału zawartego w książkach: Alfreda Majewskiego — „Czorsztyn, Niedzica — dwa zamki pienińskie”, Warszawa 1964; oraz — Grzyny Królikiewicz i Zygmunta Kruczyka — „Szlakami legend pienińskich. Przewodnik turystyczny”, Warszawa — Kraków 1983).

OTWIERA OCZY

podejrzewając, iż jest to sprawka Hiszpanów lub nawet Inków, postanowił zaszyść się w jakimś zapadłym kącie Europy, aby ccaić córkę i wnuka Antonia od niechybnej śmierci. Poznawszy w Watykanie, podczas audjencji u papieża, przeora klasztoru Augustianów z Krakowa, zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Przeora miał jakieś związki z Niedzicą, która była przecież kolebką rodu Berzewiczów. W taką oto sposób uciekinierzy z Peru znaleźli drogę do zamku nad Dunajcem. Przybyli tutaj z trzecią częścią skarbu Inków, z zamiarem odkupienia od Horváthów z Palocsy dawnej siedziby Berzewiczów.

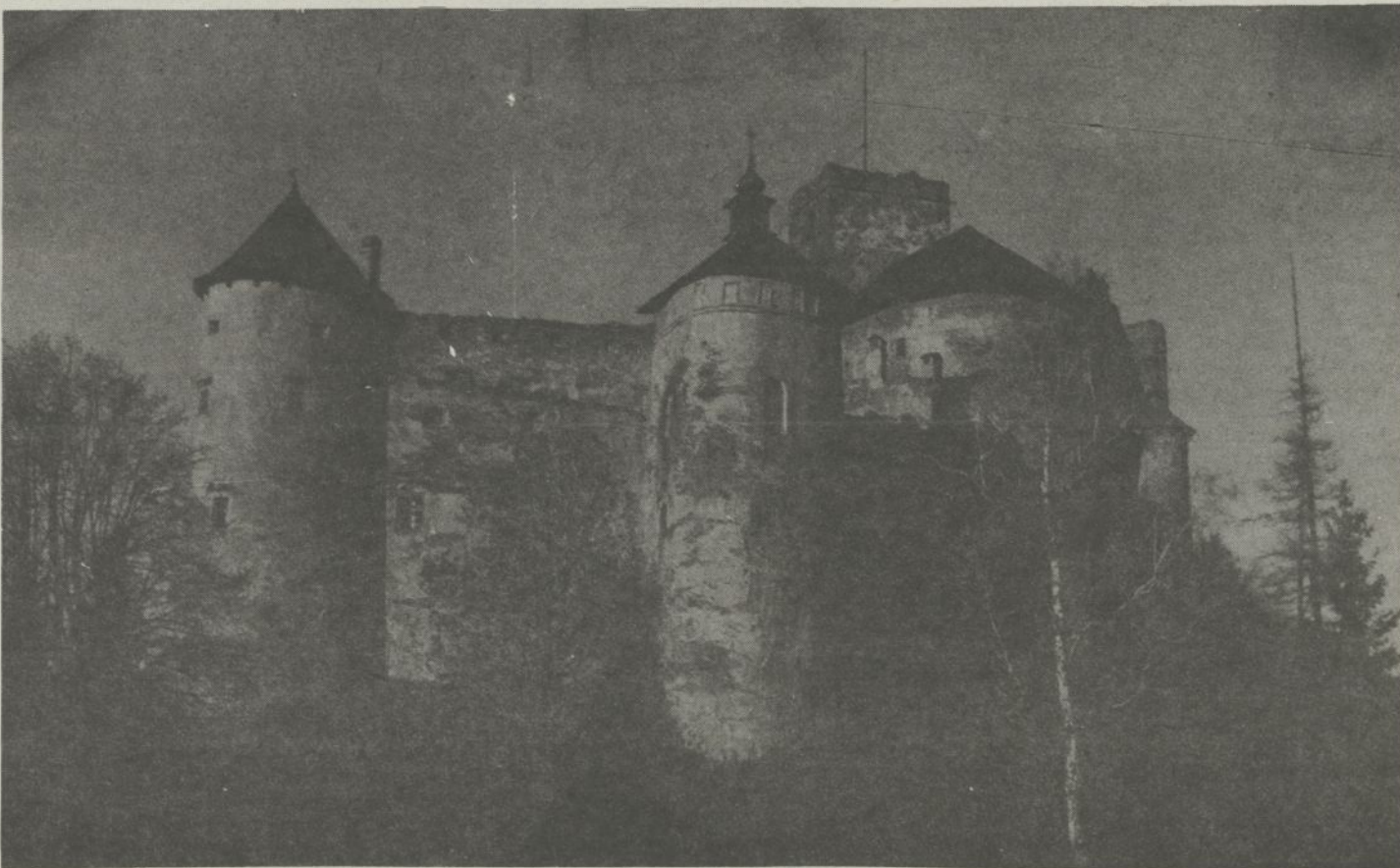
Wysłannicy Hiszpanów szli jednak za nimi krok w krok. Wkrótce po zamieszkaniu w niedzińskim zamku piękna Umina została zaszytletowana, a Antonio cudem tylko uniknął śmierci. Wtedy stary Sebastian postanowił wnuka ukryć. W tym celu zwrócił się do swego bratanka, Wacława Benesza, z prośbą, aby ten zaopiekował się ręką sobie liczącym Antoniem i usynowił go, nadając mu nazwisko Benesz. I tak też się stało za sprawą znanego nam dokumentu z 21 czerwca 1798 r.

Po latach Antonio Benesz ożenił się z Barbarą Rubinowską, córką polskiego oficera wojsk napoleońskich. Zajmował się uprawą ziemi odziedziczonej po przybranym ojcu.

Jeden z synów Antonia, Ernest, budowniczy kolei w Galicji i poszukiwacz złóż ropy naftowej, miał syna Jana Benesza, a ten też miał syna: Andrzeja Benesza z Bochni.

Wiadomość o odnalezieniu „Testamentu Inków” dostała się na łamy pra-

tu spisane na niedzińskim zamku 21 czerwca 1978 roku, to dostępny był jedynie, nie potwierdzony notarialnie, jego odpis.



Fot. Henryk Pieczul

wano. Usłyszałam: „za długo pani pracuje na bramie”. Zrozumiałam, że za dużo wiem, za dużo mówię i to, im przeszkadza. Ostatecznie zostałam przeniesiona do działu rozlewni jako rezydentka, sprawdzająca pracownice zatrudnione na linii rozlewniczej. Wtedy dopiero zrozumiałam, skąd wódka brała się „na bramie”. Na polecenie kierownika rozlewni pracownice chowały do szafy pojemniki z wódką. Szafa mieściła około 150 butelek. A po dniu czy dwóch w szafie brakowało już kilkudziesięciu butelek alkoholu.

Rok 1987 był dla lubelskiego „Polmosu” rokiem wyjątkowo „napiętych” zadań inwestycyjnych.

W śledztwie Józef K., zastępca dyrektora ds. technicznych, powiedział:

— Niejednokrotnie w rozmowie ze mną dyrektor Ł. podkreślał, że w sprawach remontów zakładów nie zawsze skuteczne są kontakty drogą piśmenną lub telefoniczną. Jego zdaniem, należało udawać się tam osobiście i to „nie z gołymi rękami, ale z argumentem w postaci naszych wyrobów”. Prowadziłem różnego rodzaju uzgodnienia i rozmowy z przedstawicielami wielu przedsiębiorstw. Przy tych negocjacjach potencjalni wykonawcy w większości przypadków przyjęcie do realizacji konkretnych usług remonto-

wych warunkowali otrzymaniem „prezentów” w postaci alkoholu.

Mając na uwadze dobro zakładów i zdając sobie w pełni sprawę, że wszelkie przestoje mogą spowodować niewspółmiernie wyższe straty dla zakładów niż przekazanie bez ewidencji w formie prezentów kilku lub kilkunastu butelek wódki, zdecydowałem się zwrócić do Włodzimierza T., aby w miarę potrzeb przekazywał mi po kilka butelek wódki. Na potrzeby własne alkoholu nie brałem — zapewnia Józef K.

— Zdarzały się przypadki — relacjonuje zastępca dyrektora — że naczelny prosił mnie, żeby przygotować kilka butelek wódki na konkretne imprezy, np. rozruch kotłowni w „Cukrowni” Lublin. Również w ramach wizyt delegacji zagranicznych: radzieckiej, jugosłowiańskiej, kubańskiej, praktykowaną była degustacja napojów alkoholowych produkowanych przez zakład i wręczanie upominków w postaci alkoholu.

I dalej Józef K.: — Mieliliśmy szerokie kontakty z różnymi wykonawcami. Były to spotkania, w czasie których spożywany był alkohol. Spotkania te odbywały się w godzinach pracy, początkowo w gabinecie dyrektora, później w specjalnym pomieszczeniu przylegającym do gabinetu dyrektora. W pokoju tym uprzednio pra-

cował Włodzimierz W., inspektor do spraw obronnych. Po wyremontowaniu pomieszczenie wyłożono płytkami imitującymi drewno, zakupiono też nowe meble, a podłogę wyłożono wykładziną w kolorze czerwonym. Z tego powodu pracownicy „Polmosu” pomieszczenie to nazwali „czerwoną oberżą”.

Po raz pierwszy do Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie Józef K. powiódł alkohol razem z Aliną Ł.

Podczas przesłuchania powiedział: — Do urzędu pojechaliśmy samochodem służbowym. Mieliliśmy ze sobą 10—15 butelek wódki różnych gatunków. Część alkoholu miała w torbie Alina Ł., a część ja. W trakcie rozmowy wyjęliśmy wódkę i daliśmy ją wojewodzie. Wojewoda schował alkohol w pokoju znajdującym się na zapleczu gabinetu.

Przypominam sobie drugi przypadek dostarczenia alkoholu wojewodzie. Alina Ł. prosiła mnie, abym wspólnie z Włodzimierzem W. pojechał na ulicę 22 Lipca. Tam W. wyjął z samochodu ładunek tj. torbę wojskową i wspólnie poszliśmy do gabinetu wojewody. Wojewoda był zajęty. Czekaliśmy. Po chwili drzwi prowadzące na zaplecze gabinetu wojewody otworzyły się. Wziąłem torbę z alkoholem. Wojewoda wskazał mi miejsce, gdzie mam u-

stawić butelki. Postawiłem je na podłodze pomiędzy regałami. Nie liczyłem butelek, ale było ich nie mniej niż 10.

— Kiedyś Alina Ł. powiedziała mi — kontynuuje Józef K. — że ma sprawę do ważnego urzędnika w Ratuszu. Pojechaliśmy tam razem. Poczęstowano nas herbatą. W czasie rozmowy Alina Ł. podała mi siatkę-reklamówkę i powiedziała, abym zawziętość przekazał temu urzędnikowi. Były to 3—4 butelki wódki. Ważny urzędnik miejski otworzył jedną z szafek i wskazał, gdzie mam postawić butelki.

W trakcie dochodzenia prowadzący rozmowę zapytał Józefa K.:

— Czy podczas przyjęcia z okazji 80-lecia zarządków „Polmosu” przekazywał podejrzany komuś alkohol?

— W trakcie przyjęcia dyrektor Ł. poprosił mnie, abym przygotował suweniry, bo „Warszawa” szykuje się do odjazdu. Poszedłem do pokoju obok sali bankietowej, gdzie złożony był alkohol. W pomieszczeniu zastałem Zbigniewa T. Przekazałem mu prośbę dyrektora, by przygotował kartoniki z alkoholem dla „warszawiaków”, czyli dla przedstawicieli zarządu „Polmosu”, któremu towarzyszył przedstawiciel Ministerstwa Rolnictwa i przedstawiciel Komitetu Centralnego PZPR.

(cdn.)

CZASAMI wydaje mi się, że Rewolucję Październikową wywołało po to, by co roku w listopadzie mogły się odbyć w Polsce Dni Filmu Radzieckiego. To zapewne przyziemny punkt widzenia na historię, ale jeśli się mylę, proszę o dowody. Dla maniaków kina to jedyna okazja, by zobaczyć jeden z „nowych” (choć często sprzed dwudziestu lat) filmów radzieckich. O ile oczywiście ktoś pracuje na drugą zmianę i ma czas, by wybrać się na seans przedpołudniowy, kiedy to przeważnie wyświetla się owe filmy. Maniacy kina czas mają. Tylko ilu jest jeszcze takich facetów. Niejednokrotnie nie wystarczyłoby ich, by uformować reprezentację futbolistów, a co dopiero

Nie wiadomo, kiedy zostanie sprowadzony do Polski głośny już w świecie „półkownik” Aleksandra Askoldowa — „Komisarz” (z 1967), oparty na opowiadaniu Wasilija Grossmana i nagrodzony specjalną nagrodą Złotego Lwa w Berlinie Zach. '88. A także inne filmy dopuszczone ostatnio do rozpowszechniania w Związku Radzieckim: debiut Aleksandra Sokurowa „Samotny głos człowieka” (Brazowy Lampart w Locarno), zrealizowane przed 20 laty „Ojczyzna światła” Larisy Szepitko i „Historia Asi Klaczyny, która kochała, lecz nie wyszła za mąż” Andrieja Michajłowa-Konczalowskiego (Grand Prix Wszzechzwiązkowego Festiwalu Filmowego — Baku '88).

— nagród dla pracowników za szczególne osiągnięcia w rozpowszechnianiu filmów preferowanych i promowanych; — zróżnicowanych opłat licencyjnych, świadczonych przez kina na rzecz określonych instytucji za korzystanie z określonego typu repertuaru: malejących nawet do zera w odniesieniu do filmów preferowanych i promowanych. Radość z istnienia tego typu mechanizmów motywacyjnych osłabia dopieki znajdujący się w cytowanej uchwale: „przewidziane powyżej ekonomiczne mechanizmy motywacyjne działają skutecznie jedynie w przypadku zniesienia indywidualnego opodatkowania wynagrodzeń oraz zniesienia procentowego progu przyrostu wy-

Należy przy tym zwrócić uwagę, że „słuszny ideologicznie” i „radziecki” przestały być synonimami. Doczekaliśmy się zabawnych czasów: NRD w duchu ortodoksyjnym próbuje poprawiać radzieckie wykładnie ocen historycznych (histeryczna decyzja o wycofaniu z kolportażu „Sputnika”), prasa radziecka zadziwia śmiałością i niezależnością wypowiedzi, kwestionując utarte wyobrażenia o geografii wolności słowa, a głównym popularyzatorem radzieckiej literatury w Polsce okazuje się pismo uznawane za „bastion opozycji” — „Tygodnik Powszechny” (brawo dla Andrzeja Drawicza!). Wcale się nie zdziwię, jeśli dowiem się pewnego dnia, że głównym kontynuatorem „prawdziwego” dziedzictwa marksizmu-leninizmu jest Rumunia.

Piszę o kinie, bo o nim piszę. Zawsze mogę powołać się na słowa klasyka, że dla władzy radzieckiej to najważniejsza ze sztuk, choć dawne przekonanie teoretyków, że odtwarza rzeczywistość, niczym się nie różni od wiary i marzeń o lepszym jutrze. Nie ukrywam, że idzie mi o coś więcej.

Ponad czterdzieści lat politycznego sterowania kulturą w Polsce zrobiło swoje: wywróceniu uległy wszelkie przedmiotowe kryteria wartości. Nie ważne, co się mówi, ważne, kto mówi, skąd mówi i po co mówi. Ważne o tyle, że wzbudza podejrzliwość. Przyczynia się do tego prasa, która, o ile nie wspiera się na innych autorytetach (jak na przykład Kościół), od stanu wojennego nie odzyskała wiarygodności (zwłaszcza, gdy pod danym tytułem widnieje dopisek: „Proletariusze wszystkich krajów łącznie się”). Czytelnicy bowiem wiedzą, że jeśli krytykuje się coś lub kogoś, to nie jest to wyrazem prywatnego sądu krytykującego, ale aprobującej decyzji określonej grupy społecznej — ktoś pozwolił, aby ktoś inny został przeznaczony „do odstrzału”.

Sytuacja w krytyce (nie tylko artystycznej) na linii: krytyk — przedmiot krytyki — odbiorca (linii, co wyraźnie trzeba zaznaczyć, umieszczonej na płaszczyźnie ścierających się lobbies decyzyjno-opiniotwórczych) przypomina stan całkowitej entropii. Wyłączone z tego są lobbies, gdyż one zawsze uniemożliwiają przedmiot krytyki lub „znieść” krytyka.

Mówiąc konkretnie, jeśli napiszę, że kino radzieckie jest dobre (co zawsze oznacza podanie określonych tytułów, a nie rozciąganie ocen na szereg niedobrych produkcji), nie mogę nie pamiętać o uwadze Miłosza, że każdy intelektualista (to niby ja) z bloku wschodniego czuje się w obowiązku napisać przynajmniej jeden tekst pochwalny na cześć kultury radzieckiej.

Jeśli zatem mówię, że „Zapomniana melodia na flet” jest dobra, a „Jutro była wojna” — nie, jeśli uważam, że „Pokuta” jest przereklamowana (gdzie temat został zafalszowany manieryczną alegorycznością), a „Pożegnanie” Klimowa — niedocenione, że mam zrozumienie dla ocen radzieckich krytyków, którzy w ankiecie tygodnika „Niedziela” najczęściej wymieniali znakomity film Aleksieja Giermana „Mój przyjaciel, Iwan Łapszyn” wśród najlepszych dzieł w historii radzieckiej kinematografii — to opinie moje nie mają większego znaczenia, w szczególności dla kogoś, kto nie widział tych filmów lub przyjmuje postawę odrzucania wszystkiego, co radzieckie.

Nie powiem, abym się specjalnie przejmował opinią o sobie, choć własność publicznego wypowiedziania własnych poglądów zmusza do odpowiedzialności, ale nie powiem też, że świadomość otrzymania gratis określonego rodzaju gęby jest przyjemna. Nie chodzi tu o moje prywatne samopoczucie, które jest moją wyłączną sprawą, ani moją osobistą nieistotność, lecz godny ubolewania fakt braku jakiegokolwiek znaczenia opinii krytycznych.

Dotyczy to właściwie każdej dziedziny — sądy wypowiedziane częstokroć przez naszych czołowych krytyków zupełnie się nie liczą. Można zastanawiać się nad brakiem prawdziwych indywidualności, wiarygodnych autorytetów, sedno tkwi, jak sądzę, jednak w samym statusie krytyki, wynikającym z nieustannego oddziaływania obszaru polityki. W ten sposób odrzucanie wszystkiego, co radzieckie, w mentalności odrzucającego jest utożsamiane z postawą opozycyjną. Niestety świadczy to jedynie o ignorancji. Trudną tą samą miarą traktować Jurija Bondariewa i Daniila Granina, Sergieja Bondarczuka i Andrieja Tarkowskiego lub — by nie strzelać z armaty do wróbla — Eleme Klimowa.

Dokończenie nastąpi

„MÓJ PRZYJACIEL IWAN...” CZYLI DLACZEGO NIE KOCHAMY RADZIECKIEGO KINA?

Marek Nalikowski

uzbierać owe zwyczajowe 10 proc. widowni, które doprowadza do włączenia projektora.

Tradycyjnie po listopadowych Dniach Filmu Radzieckiego ukazywały się w prasie stosowne wzmianki i okolicznościowe recenzje. Omawiając filmy, nikt jednak jakoś nie wspominał o liczbie widzów obecnych podczas seansów. Gdy w maju chciałem obejrzeć film Władysława Krzysztofiwicza „Samotna panna...”, wyświetlany w ramach Wiosennych Spotkań z Filmem Radzieckim, pani w kasie odłożyła sprzedaż biletów, dopóki nie znajdzie się wymagane minimum „ogładaczy”. Rewolucja Październikowa to zbyt wielki imperatyw, by drobiazgowo przestrzegać przepisów; tym razem filmy radzieckie wyświetlano, nawet jeśli kryteria ilościowe nie zawsze były spełnione.

Podczas projekcji filmu „Chłodne lato '53” Aleksandra Proszkina w najelegantszym kinie wojewódzkiego miasta grupa młodzieży raczyła się winem, o którym kiedyś mówiono, że tanie. Rozumiałem młodych: na dworze ziąb, w kinie ciepło, pusto i przytulnie, bilety niedrogie, znacznie przyjemniej pić w wygodnym fotelu niż zasikanej bramie. Młodzi swymi odgłosami wprowadzili potwierdzali niepopularną ostatnio tezę o pochodzeniu człowieka od małpy, lecz grzecznie się uciszali, gdy zwracano im uwagę, że przeszkadzają. Pamięć mieli jednak krótką lub już zmaconą, zatem po chwili znów wiało dzunglą i mordownią.

Nieco zdegustowany, zastanawiałem się, czy za parę lat wejdą oni na szczebel określony lapidarnie w tytule słynnej pracy Engelsa. Bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że zadania materialno-życiowe nie pozwolą im chodzić do kina.

Na filmie bohater rozprawiał się właśnie z całą bandą przestępców, gdy na sali dziewczę odezwało się: „Nie mogę już. Wypij za mnie”. Wkrótce potem wino się skończyło i młodzież, nie doczekawszy końca filmu, wyszła. Być może następnego dnia w szkole opowiadali kolegom, na jakim to „glupim, ruskim filmie” byli. Najsmutniejsze, że tego samego dnia podobno do nich przybyli tłumnie na pokaz jednego z koszmarnie kretyńskich filmów rodzimej produkcji. Tytuł zmilczę, bo kontrpropozycji mogłoby być więcej.

Lista filmów zaprezentowanych podczas ostatnich Dni Filmu Radzieckiego nie zawierała tak utytułowanych dzieł jak w roku poprzednim, kiedy to przez nasze ekrany dosłownie przemknęły utwory nagrodzone na festiwalach w Cannes, Berlinie Zach. i Wenecji: „Pokuta”, „Temat”, „Plumbum”. Tym razem w kinach znalazły się filmy wyświetlane na Konfrontacjach — „Jutro była wojna” Jurija Kary, „Zapomniana melodia na flet” Eldara Riazanowa, tegoż zdjęty z półki „Garaz” (z 1979 r.), wspomniane już przeze mnie, sensacyjne i rozrachunkowe „Chłodne lato '53” Proszkina i przeznaczona dla dzieci „Liliowa kula” Pawła Arsenowa.

W momencie, gdy piszę te słowa, nie wszędzie jeszcze dotarły zakupione „Krótkie spotkania” Kiry Muratowej (z 1967 r.), „Błaganie” Tengiza Abuladze (z 1968), „Wdowy” Sergieja Mikaeliana (z 1976), zrealizowana niedawno „Robinsonada czyli mój angielski dziadek” Nany Dżordzadze (Złota Kamera w Cannes '87) i „Assa” Sergieja Sotłowa.

Nie chcę tutaj omawiać tych filmów ani ich reklamować; widzom szerzej zainteresowanym kinem ich wartość jest znana, innym — w przypadku utworów zakupionych — nawet gdyby chcieli, niełatwo by przyszło je obejrzeć po zakończeniu oficjalnych obchodów.



Z filmu „Mój przyjaciel Iwan Łapszyn”.

Powiedzmy sobie szczerze: kina nie pragną wyświetlać filmów radzieckich, bo nikt nie chce ich oglądać. Namawianie widzów do ich oglądania, a kierowników kin do prowadzenia w tym zakresie działalności promocyjnej, byłoby głosem wielkiej naiwności, nie licząc się z realiami sytuacji, jaka od lat niezmiennie panuje. Kierownicy kin, choćby zaliczali się do największych miłośników sztuki filmowej, są przede wszystkim zobowiązani do wykonania planu finansowego; idąc po najmniejszej linii oporu, wybierają te filmy, które najprościej im to umożliwiają. A do takich filmów radzieckie nie należą.

Oczywiście — zgodnie z przyjętą uchwałą Komitetu Kinematografii — filmy radzieckie mogą zostać oficjalnie zaklasyfikowane do kategorii dzieł preferowanych i promowanych, a w związku z tym będą podlegały „ekonomicznym mechanizmom aktywnego rozpowszechniania” w postaci:

— dopłat (dla okręgowych instytucji rozpowszechniania, a za ich pośrednictwem dla kin) w skali od 30 do 50 proc. wielkości wpływów uzyskanych z rozpowszechniania określonego filmu; — prowizji dla załóg kin ze współczynnikami korekty zwiększającej prowizję za wpływy od filmów preferowanych i promowanych;

— nagród dla pracowników za szczególne osiągnięcia w rozpowszechnianiu filmów preferowanych i promowanych;

— zróżnicowanych opłat licencyjnych, świadczonych przez kina na rzecz określonych instytucji za korzystanie z określonego typu repertuaru: malejących nawet do zera w odniesieniu do filmów preferowanych i promowanych. Radość z istnienia tego typu mechanizmów motywacyjnych osłabia dopieki znajdujący się w cytowanej uchwale: „przewidziane powyżej ekonomiczne mechanizmy motywacyjne działają skutecznie jedynie w przypadku zniesienia indywidualnego opodatkowania wynagrodzeń oraz zniesienia procentowego progu przyrostu wy-

Wygląda na dziwny paradoks, że państwo socjalistyczne, które na każdym kroku podkreśla swą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, bardzo osobliwie rozumie ją w dziedzinie kultury. Nieważne co i jak, byle dużo i głośno, a najlepiej — spektakularnie. Rokrocznie sprowadza się ze Związku Radzieckiego około 40 filmów, to jest mniej więcej tyle, ile produkuje cała nasza kinematografia, i dużo więcej, niż importuje się z jakiegokolwiek innego kraju. Pomijając jednak kina, które z założenia wyświetlają filmy wyłącznie z krajów socjalistycznych lub radzieckie (jak warszawskie kino „Przyjaźń”), im dalej od stolicy i większych miast tym mniej trafia tych filmów.

Hipokryzja krótkowzroczności przechodzi sama siebie walcząc o prymat z niekompetencją propagandy. Motywowane ustrojowo i sojuszami, wielkości zakupów w dziedzinie kultury realizuje się planowo. To, że przewaga liczbową ma niewiele wspólnego z jakością i rzeczywistą obecnością danej kultury w życiu społecznym, nie jest już istotne. Na papierze wszystko się zgadza, a wiadomo, że statystyka to naczelna dziedzina ekonomii socjalistycznej (czytaj stalinowskiej).

Państwowy mecenas podejmuje decyzje strategiczne, obliczone na efekt zewnętrzny („wymiana kulturalna między naszymi bratnimi krajami stale dynamicznie się rozwija”), w samym kraju jednak musi liczyć się z mentalnością i oczekiwaniami odbiorców. Zwłaszcza jeśli kulturę traktuje się jako sferę luksusu i przy jej pomocy za sprawą fiskusa usiłuje się ściągnąć z rynku żywy pieniądź (przykładem choćby zawyżone ceny książek).

Bynajmniej nie namawiam do powrotu do czasów, gdy w dziedzinie kultury grę rynkową zastępowały sztywne kryteria ideologiczne. A zatem — do stałej obecności, niezależnie od popytu, radzieckich filmów i książek o sztucznie zaniżonych cenach. W przypadku kina tańsze bilety na filmy radzieckie nie stanowią bowiem żadnej zachęty do ich oglądania. Nie odrzucałbym jednak jakiegokolwiek kształtowania gustów odbiorców przez instytucje do tego powołane, wspierające dzieła ambitne, dając im tym samym równą szansę zaistnienia w kulturze, ale wyłącznie w ramach bogatej i różnorodnej oferty rynkowej.



POLSKI IDEALIZM — POLSKI REALIZM

Dokończenie ze str. 1

udanych powstaniach, zwłaszcza styczniowym, oraz procesów uruchomionych uwłaszczeniem chłopów w 1864 roku. Podzielona między zaborców, Polska jawiła się jako twór wielce zacofany społecznie, gospodarczo i niestety także — umysłowo. Taka była obiektywna prawda, abstrahując od okoliczności — fakt, że bardzo niekorzystnych. Nowy nurt myślenia o sprawie narodowej zaproponował w takim stanie rzeczy nie kolejny spis powstańców, lecz ewolucję: daleko mniej efektywną, mniej angażującą emocje, ale racjonalnie bardziej uzasadnioną.

Przede wszystkim zwrócono uwagę na rolę postępu naukowo-technicznego i rozwoju gospodarki w dziele tworzenia zdrowych podstaw bytu ekonomicznego. Nastąpił dynamiczny rozwój przemysłu, produkcji systemów bankowego i handlowego. Szybko likwidowane były ogromne zapóźnienia względem Europy Zachodniej. Wiele uczyniono dla edukacji narodowej, krzewienia oświaty, likwidacji analfabetyzmu, upowszechnienia szkolnictwa. Także stosunki społeczne stawały się bardziej postępowe i demokratyczne, co wyrażało się m. in. stworzeniem klimatu (również pewnych możliwości) społecznego awansu chłopów, mieszczaństwa, emancypacji kobiet, równouprawnienia mniejszości narodowych (zwłaszcza Żydów).

Ten dynamizm procesów społecznych znajdował wyraz w nowym spojrzeniu na historiografię; przejawiał się w filozofii, literaturze, a nade wszystko w publicystyce i prasie. Wykonana została ogromna praca nad „przeoraniem” filozofii i mentalności narodowej. O tym wszystkim pisałem w swojej książce. Co do przykładów, wymieniałem naturalnie Szkołę Główną, „Przegląd Tygodniowy”, Świętochowskiego, Wiślickiego, Chmielowskiego, Prusa, Ochorowicza... No ale są to dla polskiego czytelnika sprawy raczej oczywiste. Dla Amerykanów były niekiedy szokiem i zaskoczeniem. Wartości pragmatyczne i realistyczne nie są u nich związane z obrazem Polaków, a są one przecież niezwykle w Stanach cenione. Odbierane niejako „za narodowe”. W tym kontekście uzmysławianie, że takie walory nie były obce Polakom, miało i ten pożytek, że jakoś mogło oddziaływać na stosunek do Amerykanów polskiego pochodzenia. Naturalnie jest to hipoteza.

— Nie jestem pewien, czy Amerykanie mają świadomość wręcz podstawowego kontekstu wydarzeń, o których pan pisał. Chodzi mi o fakt braku państwowości. Sugeruje pan to już w podtytuł („przetrwanie narodowe”), ale wątpię, aby to było aż tak oczywiste dla czytelników książki. Już tu, w New Britain, jeden z polonusów (o rodzinnym polskim nazwisku) mówił mi, że jego dziadkowie w 1911 roku emigrowali z okolic rosyjskiego miasta o nazwie... Zamość i zostali w Stanach zakwalifikowani jako emigranci rosyjscy. Jednak na moje pytanie, po jakimś czasie, niemal się obraził. „Po polsku! To jasne” — odparł. Skoro więc sami Amerykanie polskiego pochodzenia mają taki obraz swej genealogii, to jak wymagać wiedzy o polskiej specyfice od Amerykanów wywodzących się z zupełnie innych okolic Europy?

— Mówi pan o ważnej sprawie. Amerykanie, w dużej mierze, patrzą na historię poprzez kontekst historii własnej. Zachowanie tożsamości narodowej, kultury, sztuki — mimo ponad stuletniej niewoli — może więc być dla nich trudne do zrozumienia we wszystkich tego niuansach i złożonościach. Mogą sobie zadawać takie na przykład pytanie: „Czy to faktycznie była niewola, skoro wystawiono pierwszą operę narodową, działała szkoła wyższa i wychodziły gazety?”. Na takie pytania napotykałem w czasie zajęć ze studentami, ale również w znacznie poważniejszych gremiach.

— W wydaniu książkowym pańskiej rozprawy doktorskiej dołączony został odrębny rozdział dodający edycji pewnej pikanterii.

— Na życzenie wydawcy dopisałem pośłowię, zarys myśli realizmu od po-

czątku XX wieku do stanu wojennego w 1981 roku.

— Co zawiera ten rozdział? Szczególnie interesujące wydają się ustalenia dotyczące lat powojennych.

— Nim o tym powiem, chciałbym poczynić kilka uwag. Pierwsza jest taka, iż nie jestem — jak pan wie — zwolennikiem socjalizmu, ale jednocześnie mam poczucie rzeczywistości politycznej w świecie. Po drugie, uważam za potrzebne działania zdążające do zmiany oblicza politycznego Polski. Taką potrzebę widziałem zresztą od zakończenia II wojny. Mówiąc więc o realizmie i idealizmie w Polsce powojennej — mam na myśli ruchy zmierzające do zmiany sytuacji spoza obszarów władzy, ruchy opozycyjne. Tymi się zajmowałem.

Z pewnym uproszczeniem można wyróżnić etapy i przełomowe daty dążeń, o których mowa.

— Pierwszą zapewne jest rok 1948?

— W przybliżeniu. Właściwie wybory w 1947 roku pokazały, że jakiegokolwiek korekty systemu na drodze parlamentarnej nie są możliwe. W efekcie nastąpiła likwidacja PSL i wcześniejszy wyjazd Mikołajczyka, prezesa tej partii i wicepremiera. Zresztą niedługo potem ofiarą padł Gomułka, człowiek związany z komunizmem, ale już niestranny dla stalinowskiego totalitaryzmu.

— Czy próby wpływania na ówczesną rzeczywistość określiliby pan realistycznymi czy idealistycznymi?

— Raczej idealistycznymi. Były nastawione na otwartą próbę sił, co z góry przesądzało o wyniku.

— Były zatem niepotrzebne?

— Tak powiedzieć nie można. Historia jest procesem i osądzanie jej etapów, bez spojrzenia z perspektywy, przynosi tylko połowiczne oceny.

— Rok 1956?

— Tak. Dążenia, które doprowadziły wtedy do zmian, płynęły z realistycznego nurtu. Szybko postępowało samoświadomością społeczeństwa co do sytuacji politycznej i możliwości wpływania na nią. W końcowym rachunku parcie było tak silne, że musiały nastąpić zmiany. Charakterystyczne, że kreatorem zmian było całe, no, może niemal całe, społeczeństwo.

— Teraz jaką pan by wymienił datę?

— 1970 rok. A właściwie ten i następnym. Według mnie, lata siedemdziesiąte to przykład rozkwitu realizmu, choć mój przyjaciel i ceniony politolog, profesor Bromke twierdzi, że lata siedemdziesiąte to coś odwrotnego: dominacja idealizmu i romantyzmu. Ja się upieram przy swoim. Przejawy realizmu dostrzegam w ruchach akcentujących obronę praw obywatelskich (przede wszystkim — KOR). Widzę tu analogie do idei samoobrony społeczeństwa lansowanych w XIX wieku. Wcześniejszych działań o takim charakterze dopatrywać się można w wyrazach sprzeciwu środowisk intelektualnych pod koniec lat sześćdziesiątych, listach do władz itp.

— Idąc pańskim tokiem myślenia, również wydarzenia lata 1980 roku mieszczą się w nurcie realizmu. Czy tak?

— Naturalnie. To, co się wydarzyło w sierpniu '80 na Wybrzeżu, postrzegam jako sprzeciw przede wszystkim przeciwko deficytowi swobód i podmiotowości, a nie warunkom bytowym. W takim ujęciu nie sposób nie dostrzeżać wpływu wcześniejszych działań o podobnym kierunku.

— Rozumiem, że „Solidarność” też pan uznaje za ruch mieszczący się w nurcie realizmu?

— Tak. „Solidarność” była ruchem autentycznym i realistycznym jako całość. Być może, potrzeba perspektywy — dziesięć lub więcej lat — aby to tak ocenić. Zapewne też inaczej widać stąd, z USA, a inaczej z kraju. Realizm tego ruchu dostrzegam w tym, iż spowodował nieodwracalne zmiany w mentalności Polaków, pokazując, że demokratyzowanie życia społecznego jest możliwe bez względu na okoliczności.

— Co, pańskim zdaniem, powinno stać się w Polsce, aby nastąpił czas łagodzenia dotkliwych skutków kryzysu i zbliżenia różnych, często bardzo odległych poglądów, opcji politycznych, interesów?

— Myślę, że pierwszą sprawą jest zrobienie czegoś sensownego z polskim rolnictwem, które według opinii FAO powinno żywić 80 milionów ludzi, a nie może wykarmić 38 milionów. Ziemię powinni mieć w swych rękach najlepsi i... najlepiej powinno im się w Polsce powodzić. Od zabezpieczenia samodzielności żywnościowej należałoby zacząć. Gorzko się robi gdy się słyszy kawał o dzieciach, z których jedno mówi: „My mamy socjalizm”, a drugie: „A my mamy banany”. I nie idzie o to, aby sadzić w Polsce bananowce.

Drugi problem to przywrócenie znaczenia sektorowi prywatnemu w przemyśle i handlu. Od lat wiadomo, że wydajność pracy jest w nim najwyższa i tylko manipulanci skłonni są wiązać to z wysiłkiem kapitalistycznym. Jest to podstawowy warunek zdobycia zaufania zagranicznych partnerów gospodarczych, a tych Polsce potrzeba.

I wreszcie kwestia autentycznego reform społecznych, a wśród nich dopuszczenia do głosu rzeczywistej reprezentacji społeczeństwa. Można się namówiać z Wałęsą, ale to tylko podnosi jego prestiż. Można udawać, że nie widzi się, iż Polacy to w 90 procentach katolicy, ale to tylko jeszcze bardziej przybliży ludzi do Kościoła i katolickiej nauki społecznej. Żeby Warszawa była wiarygodna na świecie, musi być także wiarygodna u siebie. Pod pojęciem „Warszawa” rozumiem — żeby nie było wątpliwości — władze.

— Panie profesorze: jest pan człowiekiem znanym i uznanym wśród Polonii w USA. Czy prezentowane tu poglądy można uznać za prywatne, czy też może za uogólnienie opinii całej Polonii?

— Mówię w swoim imieniu. Nie jestem jednak głuchy na to, co mówi Polonia o sytuacji w Polsce. Kongres Polonii Amerykańskiej, któremu przewodził nieodżałowany Alojzy Mazewski, wydał mi się najbardziej realistycznym reprezentantem polskiej grupy narodowej w USA. Rozumie on dobrze realia ustrojowe w Polsce. Dlatego też np. apelował o wycofanie sankcji; nie z sympatii do socjalizmu, a ze względu na pauperyzację społeczeństwa. KPA jest sceptyczny wobec rządu, ale popiera udzielanie Polsce kredytów. Popiera liberalną politykę emigracyjną i dlatego dostrzega pozytywne zmiany w kraju w polityce państwowej. Z kolei też wielką wagę przywiązuje do swobodnej wymiany poglądów i informacji, a więc popiera działalność Radia Wolna Europa. Popiera także „Solidarność”. Prowadzi szeroką działalność charytatywną na rzecz kraju. Tak bym określił dominujące tendencje, od których mogą być odchylenia w różnych kierunkach.

— Czy można by zatem sformułować pogląd, iż Polonia Amerykańska z uwagą śledzi bieg wydarzeń w Polsce, a stopień zyczliwości zależy od dalszego rozwoju wypadków?

— Naturalnie! Jeżeli — powiedzmy — przyjdzie sensowna ustawa o kapitale zagranicznym, to pewnie znajdzie się więcej chętnych do robienia interesów z krajem. Jeżeli, na przykład, umiana zostałaby „Solidarność”, to inny byłby także stosunek jej struktur emigracyjnych do Polski, nie mówiąc już o stosunku oficjalnych czynników amerykańskich, patrzących z uwagą na Warszawę. Wbrew geografii — Nowy Jork wcale nie leży tak daleko od Warszawy.

— Dziękuję panie profesorze za poświęcony czas...

— Może nie ma za co? Nie jestem przekonany, czy ktoś to wydrukuje.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

(Rozmowa została przeprowadzona w pierwszych dniach sierpnia 1988 roku w New Britain, Connecticut).

Rozmowa ta przeprowadzona została podczas XIII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych (Gdynia, 12—18 września 1988), na którym to — wchodzący właśnie na ekrany — „Łabędzi śpiew” R. Glińskiego uhonorowany został Srebrnymi Lwami Gdańskimi.

— Jak smakuje sukces?

— Jeszcze nie wiem.

— Jak to? Czyżby „Srebrne Lwy” i owacja festiwalowej publiczności, która — czego dowiodła tu wielokrotnie — potrafi stać się lożą sztyrdców, to jeszcze dla pana za mało?

— Tak, jest to sukces. Olbrzymi i nieoczekiwany...

— A więc?

— Wie pan, do Gdyni jechałem nie bardzo pewny swojego. Film ten zmontowałem zaledwie na dwa dni przed festiwalom. Oglądała go komisja kulturalna i nikt więcej. Zupełnie więc nie wiedziałem, z jakim może spotkać się przyjęciem. Na zbyt wiele nie liczyłem, bowiem z Bolesławem Michalikiem, autorem scenariusza, zamierzyliśmy film satyryczny. Natomiast za najbardziej wartościowe zwykle uważa się u nas dzieła — dotyczy to nie tylko filmu — rozdrapujące rany, będące taką narodową mszą. Wracając jednak do pańskiego pytania: informacja o sukcesie dotarła już do mnie, natomiast nie potrafię jeszcze zdefiniować jego smaku.

— Tym, co pan przed chwilą powiedział, ale przede wszystkim swoim najnowszym filmem, dystansuje się pan od — zostaliśmy już przy tej poetyce — rozdrapywania narodowych ran. A przecież zadebiutował pan w fabule jakże drapieżnymi i gorzkimi „Niedzielnymi igraszkami”. Przypomnijmy: w dniu pogrzebu Stalina na obskurnym warszawskim podwórku bawią się dzieci, będące kopiami dorosłych: dzierzymodów, donosicieli, sadystów, tchórzy... Po „Igraszkach” zakwalifikowany został pan do grona robiących kino odważne, polityczne, czy — jak chcieli niektórzy — rozliczeniowe. A tu tymczasem otrzymujemy komedię. Wyborną zresztą.

— W „Igraszkach” waliłem z olbrzymiej armaty, może niepotrzebnie aż tak wielkiego kalibru. Bo nie zawsze to, co się krzyczy, musi być słuchane i wysłuchane. Czasem — ale wiem to

HISTORIA jest niezwykle prosta i w naszym spauperyzowanym społeczeństwie bardzo prawdopodobna: rodzina mieszkająca na wsi, gdzieś na kresach, otrzymuje pewnego dnia przesyłkę od ciotki z Ameryki. Jest to ozdobny słoik ze sproszkowaną zawartością, którą rodzina — wraz z zaproszonymi gośćmi — uznaje za kawę i wypija pod kieliszek wódki; w chwilę później okazuje się, że towarzystwo wypilo zwłoki ciotki po kremacji. Koniec. To opowiadanie Bogdana Madeja, zatytułowane „Pochówek”, napisane w 1975 roku i opublikowane we wznowionym ostatnio w „Czytelniku” tomie „Maść na szczury”, stało się podstawą scenariusza teatralnego dla Andrzeja Jakimieca. Jakimiec jest już drugi sezon dyrektorem i naczelnym reżyserem białostockiego Teatru Dramatycznego im. Ał. Węgierki, teatru, który w minionych latach przeżył więcej wstrząsów niż wszystkie prawdopodobnie teatry polskie razem wzięte, z tymi spalonymi włóczniami. Po kadencji nieodżałowanego Andrzeja Witkowskiego, zakończonej jego nagłą śmiercią, dyrektorzy zmieniani tu byli jak rękawiczki na Zachodzie, pisano o ich perypetiach w prasie centralnej i chyba dopiero Andrzej Jakimiec przywrócił tej placówce spokój, w miarę sensowny rozwój oraz logiczny i wybiegający na lata program rozwoju artystycznego.

Andrzej Jakimiec, realizując „Pochówek” Madeja pod teatralnym i bardziej czytelnym tytułem „List z Ameryki”, wyszedł ze słusznego — chociaż oczywistego — założenia, że skoro ludzie do teatru chodzą nie chcą, to należy ich tu przywieźć. Ponieważ głupio byłoby wozić publiczność z jednej ulicy na drugą, reżyser wymyślił inscenizację sztuki w odległym o kilka-

MEDIUM

Rozmowa z reżyserem Robertem Glińskim

praktycznie dopiero dziś — wystarczy szep. Śmiech, o ile nie jest zwykłym rechotem, też może spełnić wyznaczoną mu rolę.

I właśnie o tym opowiada „Łabędzi śpiew”. Owszem, jest warstwa anegdotyczna: scenarzystę boli ząb, ma dzięsiątkę pomysłów na film, ale z żadnego nie jest zadowolony; w jego mieszkaniu pękają rury, psuje się stary samochód, dentysta za „remont” uzębienia żąda 400 tys. zł... Ale jeśli zajrzy się trochę głębiej, dostrzec można, że interesuje mnie Polska i Polacy, nasza wspólna kondycja.

— „Łabędzi śpiew” w swojej warstwie fabularnej pomyślany został jako kino o kinie. Festiwalowa publiczność bezbłędnie wychwytywała aluzje i setne szpileczki, którymi scenarzysta Michałek i reżyser Gliński nakluwali swój środowiskowy balon. Rodzi się pytanie — na ile ta „grypsierka” będzie czytelna dla tzw. zwykłej widowni?

— Oczywiście, znajomość środowiska ułatwia wychwycenie pewnych smaczków, ale i bez tego odbiór — jak sądzę — powinien być czytelny. Rozmawiałem już na ten temat z uczestnikami festiwalu — studentami z RFN. „Zrozumieli” go przynajmniej w trzech czwartych. „Łabędzi śpiew” niejako na pniu zakupiony został do pokazania wśród Polonii australijskiej. Liczę się, że znajdzie swoją publiczność i w kraju.

— Filmem tym, mającym dużą obsadę aktorską i licznych statystów, bogate dekoracje, zaprzeczając popularnemu przekonaniu, że kinematografie mamy biedną, a jeśli chodzi o technikę, to „powiązaną na sznurki”.

— Jeśli tego nie widać z kinowego fotela, to i dobrze. A jak jest w istocie? Polskie kino jest rzeczywiście bardzo biedne. „Łabędzi śpiew”, wbrew pozorom, okazuje się filmem tanim. Kosztował około 80 mln zł, co lokuje go znacznie poniżej średniej krajowej w branży. Ale też robiony był niemal metodą chałupniczą, stawialiśmy przede wszystkim na pomysł, który następnie wiązaliśmy „sznurkiem szwagra”.

Do pewnych granic daje się to wytrzymać, natomiast gdy zostaną prze-

kroczone, zaczyna się amatorszczyzna i życie w nieustającym stresie. Podam panu tylko jeden przykład. W czasie kręcenia przez naszą ekipę zdjęć, z powodu jakiejś awarii, przez sześć tygodni nieczynne było laboratorium, w którym obrabiany miał być negatyw. Na całym cywilizowanym świecie reżyser jeszcze tego samego dnia lub nazajutrz ogląda to, co zostało nakręcone. By ocenić jakość taśmy, ewentualnie poprawić ujęcie itd. W tej sytuacji, jaka nam się zdarzyła, powinienem przerwać zdjęcia. Oznaczałoby to jednak rozsypanie zespołu, wypadnięcie z kolejki do kamery i jeszcze inne komplikacje. Zdecydowałem kręcenie w ciemno, nie wiedząc, czy nasza wysłużona kamera np. nie rysuje taśmy, nie daje „mydłanego” obrazu. Gdyby tak było w istocie, trud wielu ludzi i miliony złotych trafiłyby na śmietnik. Na szczęście tylko jedną scenę należało powtórzyć.

— Wiele dobrego chciałoby się powiedzieć o aktorach, których oglądamy w „Łabędzim śpiewie”, a w szczególności o odtwórcy głównej roli — Janie Peszku. Do tej pory krakus ten brylował na teatralnej scenie (nagroda aktorska w 1987 roku), natomiast w filmie grywał epizody. A więc „odkrył” go pan i dla kina.

— No, najpierw zadzwoniłem do Woody Allena. Ale, że ten zajęty, zwróciłem się do Peszka. Mówiąc poważnie: potrzebowałem do roli scenarzysty aktora w dojrzałym wieku, ale i plastycznego, giętkiego, dobrego w pastiszu — wybór więc był względnie prosty.

— Trudno powiedzieć, na ile publiczność, ale wielu krytyków i cała chyba władza pragnie kina współczesnego...

— Tak, władza kocha kino współczesne. Jak tylko sięgam pamięcią, nawoływała: otwarcie jesteśmy, czekamy... A gdy się doczekała, następowała szarpanina, nierządka walka. Dziś jest ona tym trudniejsza, że zamiast prymitywnych szlabanów mamy — niosące podobne konsekwencje — sugestie np. zmian optyki, wydziwku itd. Ale najprościej byłoby powiedzieć, że winna tylko władza. Wie pan, w „Łabędzim



Robert Gliński na planie filmu „Łabędzi śpiew”.

śpiewie” jest taka scena, kiedy to zakochana para trafia na pochód z plakatem „Solidarność”, z transparentem „Żądamy chleba”, „Żądamy wolności”. Obyczajem zakochanych całego świata moi bohaterowie nie zwracają uwagi na to co dzieje się na ulicy, zajęci są tylko sobą. Pretensje za tę scenę dotarły do mnie z dwu stron: z jednej — za popularyzację „Solidarność”, drugiej — za lekceważenie związku, który... itd.

Wydaje mi się, że jako społeczeństwo i jako twórcy musimy dojrzeć do właściwej oceny współczesności przede wszystkim, gdy była ona bardzo gorąca. I chyba coś takiego w naszym środowisku następuje. Z tego, co wiem, trzech moich kolegów przystąpiło do realizacji niezwykle interesująco zapowiadających się filmów.

— A pan?

— Ja zamierzyłem znów coś dla mnie nowego, taki metaforyczny science fiction. Wraz z Ewarystem Izewskim napisaliśmy scenariusz, lokując akcję w świecie pełnym supertechnik, w którym to — po telewizji — nowym medium staje się superwizja. Odbierana ona jest wszystkim zmysłami, a że pozwala zapomnieć o szarości rozpadającego się świata ludzi, przenosząc w piękny świat iluzji — funkcjonować zaczyna jak marketyk. Zabija sztukę, niszczy osobowość, zresztą zgodnie z planami władzy. Pojawia się jednak bohater... I tu postawimy kropkę.

Rozpocząłem także pisanie scenariusza, w którym chciałbym opowiedzieć o polskich dzieciach w radzieckich lagrach. Mam wątpliwości, czy taki film będę mógł zrobić. Jednak po powrocie z Moskwy, gdzie polscy filmowcy spotkali się z filmowcami radzieckimi, mówiąc m. in. o wywabianiu „białych plan”, moje nadzieje jakby wzrosły.

— Do zobaczenia więc na następnym festiwalu w Gdyni...

— O ile, to będę tylko gościem. Nie zdążę przygotować nowego filmu, bowiem na kilka miesięcy wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych.

— Kierunek Hollywood?

— Jeszcze nie tym razem.

Rozmawiał: Zbigniew Miazga

Robert Gliński (ur. 1952 r.) — reżyser i scenarzysta, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej i Wydziału Reżyserii PWST FiTV. Zrealizował kilka spektakli dla Teatru Telewizji, jego dorobek filmowy to: pięć filmów krótkometrażowych, dwa fabularne — nagrodzony na festiwalach krajowych i zagranicznych „Niedzielne igraszki” (1983) i „Łabędzi śpiew” (1988).

nać kilometrów od Białegostoku Muzeum Wsi Białostockiej, skansenie wybudowanym od fundamentów w latach siedemdziesiątych, do którego pies z kulawą nogą dotąd nie zaglądał. Omijały go pędzące na obiad do City wycieczki w autokarach, niechętnie dawali się tu przyciągnąć uczniowie, zaś drożący transport utrudniał dojazd

nej z upowszechnianiem kultury w środowiskach robotniczych, z drugiej zaś kurtuazyjny ukłon („to więcej niż premiera”) w stronę odbiorcy, który wcale nie uważa teatru za swój drugi dom.

Wróćmy jednak do samej sztuki. Próby wyprowadzenia teatru w plener

WYPIĆ CIOTKĘ CZYLI „POCHÓWEK”

Jacek Grun

pozostałym. Widowisko zatem nabrało dodatkowych kolorów za przyczyną udziału w nim konia, krowy i psa — oczywiście jak najbardziej żywych — i kończącemu jego każdorazową edycję ognisku z pieczonymi kiełbasami. Nie bez przyczyny zresztą na spektakl, nazywany „Więcej niż premiera”, Andrzej Jakimiec zaprosił załogę Białostockich Zakładów Mięsnych.

W tym momencie warto wyjaśnić, co oznacza ów termin, chyba nie znany w innych środowiskach teatralnych. O-tóż przed każdą galową premierą Teatr im. Al. Węgierki daje spektakl dla pracowników wybranego zakładu pracy. Z jednej strony, mamy więc chytne połączenie nadzwyczajnej próby general-

są tak stare jak świat i w naszej polskiej tradycji mieliśmy dziesiątki przykładów wychodzenia poza pudełko sceny. Andrzej Jakimiec usiłuje jednak zrobić z tego zasadę. Również w le-oie mieliśmy „Na tratwie” Mroźka, wystawione na jeziorze w Augustowie. Publiczność wypływała statkiem spacerowym, który rzucił kotwicę w pewnym miejscu, gdzie już czekała zacumowana tratwa z aktorami. „List z Ameryki” dzieje się zaś w obejściu chłopskim, gdzie karmi się inwentarz, zaprzęga konia i wygląda sąsiadów. „Pochówek” przypomina jako żywo — i w stylu, i w języku — „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego. Mamy tu bowiem zjawisko precyzyjnie określone w encyklopedii jako: „wpływ przemian

cywilizacyjnych na świadomość i tradycjonalizm kulturowy na wsi”. Przy tym wieś jest stuprocentowo kresowa: nieufność w stosunku do każdego przybysza, nawet z sąsiedniej zagrody, brak zaufania do najbliższej ciału władzy, duża doza prymitywizmu, a zarazem poszanowanie tradycji. Kiedy gospodarstwo odwiedza listonosz, a potem soltys, zupełnie „Konopielkowy” gospodarz — taki inny trochę Kaziuk — przyjmuje ich z rezerwą a nawet wrogością. Kiedy z listu dowiaduje się, że jego amerykańska ciotka chce złożyć swe szczątki w rodzinnej ziemi, z bólem serca wprowadzie, jednak zgadza się na to. Nie przeczuwa, bo coś takiego w ogóle nie może przyjść mu do głowy, żeby ciotkę wysłać mogli w siołku. Jak kawę.

„List z Ameryki” — po filmowej realizacji „Konopielki” — jest zatem jakby inscenizacyjnym przedłużeniem tej opowieści o ciemności, prymitywizmie, zacofaniu. Podczas gdy jednak Redliński opowiadał o swoich bohaterach w atmosferze ciepła, zrozumienia i nostalgicznej miłości, Madej jednoznacznie przedstawia ich jako żalonych ciemniaczków. Wypijają w dobrej wierze swoją ciotkę w charakterze rozpuszczalnej kawy, a potem na potęgę rzygają.

Przed laty jeden z lubelskich aktorów — Jan Wojciech Krzyszczyk — ruszył na Białostoczną z monodramem „przygotowanym na podstawie „Konopielki” („Kyrie Elejson”) i w wielu klubach zastał zabarykadowane drzwi, szczerzo go psami, pisano donosy do władz, interweniowali nawet posterunkowi. Dzisiaj „List z Ameryki” nie wzbudza już takich emocji, zresztą bia-

łostocki teatr gra go tylko w skansenie. Kto nie chce, może nie korzystać.

Na zakończenie chciałbym zwrócić tylko uwagę na warstwę językową spektaklu według Madeja. Kresowa gwara jest w opowiadaniu ledwo zarysowana i językoznawcy wiele by mieli do zarzucenia autorowi, a już na pewno brak konsekwencji. Andrzej Jakimiec wykorzystał fakt, że gra sztukę z aktorami pochodzącymi w znacznej liczbie z tych terenów i kazał im „śledzikować” na potęgę. Po spektaklu nikt już zatem nie ma najmniejszych wątpliwości, na jakich to ziemiach mogła się przydarzyć podobna historia. Ewentualnie dotkniętym tłumaczy się, że to było bardzo dawno i dzisiaj — kiedy prawie cała wieś białostocka albo siedzi w Ameryce, albo właśnie stamtąd wróciła — rzecz cała ma charakter wybitnie historyczny. Ze inni nie podzielają tego zdania — to już sprawa tych innych. Ale ciekawe: spośród wszystkich aktorów najlepiej „śledzikują” ci, którzy tej wymowy musieli się nauczyć.

Teatr im. Al. Węgierki w Białymstoku. „List z Ameryki” — na podstawie opowiadania Bogdana Madeja „Pochówek”. Reżyseria, adaptacja i aranżacja przestrzeni scenicznej — Andrzej Jakimiec. W rolach głównych: Mirosław Gawlicki, Dorota Gugala-Prokop, Andrzej Karolak, Danuta Kierklo, Krzysztof Lowniczak, Jerzy Siech i in. Premiera: czerwiec 1988 r. w Muzeum Wsi Białostockiej.

PS. Bogdan Madej pisze teraz — na zamówienie białostockiego teatru — swoją pierwszą sztukę sceniczną.

BYŁY minister finansów w poszukiwaniu rezerwy wpadł na zbawienny dla budżetu państwa pomysł udziiesięciokrotnienia podatków od upraw specjalnych, czyli tak zwanego badylarstwa oraz sadownictwa. Pomysł skądinąd słuszny: zamiast bawić się w podwajanie czy potrajanie, lepiej od razu wałnąć z dziesiątą!

Wśród badylarzy i sadowników, a także instytucji kontraktujących oraz zakładów przetwórczych — zawrzało. Podniosły się głośnie protesty. Nie wiadomo, czy w tym chórze dał się słyszeć znany z urzędowego optymizmu głos ówczesnego ministra rolnictwa. Obaj ministrowie odeszli jednocześnie, lecz ministerstwa pozostały. Obawy także: co wymyślą ich następcy? Czy nie sięgną po rozwiązania wypróbowane w innych dziedzinach, polegające na tym, że po tak zwanych społecznych czy resortowych konsultacjach zmniejsza się pierwotne propozycje o 30, a nawet 50 procent.

Niedoszłe ofiary byłego ministra finansów uważają, że nie od rzeczy bę-

tem, podjeżdżali pod bramę np. zakładu w Milejowie, kupowali tonę malin i wieźli je do innego zakładu, gdzie cena skupu była wyższa niekiedy o 200 złotych!

Inaczej przedstawiała się sytuacja z wiśniami. Po zimie stulecia, czyli zimie 1987, nie było żadnych zbiorów wiśni. W roku ubiegłym średni zbiór z hektara szacowano na 7 ton, w rezultacie koszt produkcji kilograma wynoszący 109 złotych dał cenę skupu 263 złote.

Nawet w liczbach bezwzględnych wzrost cen skupu jest skromniutki. A przecież trzeba tu jeszcze pomniejszyć zysk badylarza i sadownika o spadającą gwałtownie realną wartość zarobionych złotych. Gdyby najskromniej przyjąć ubiegłoroczną dewaluację na 60 proc., to wówczas okaże się, że dochód z tych dziedzin rolnictwa jest z każdym rokiem coraz mniejszy. Czy wiedząc o tym, sadownik lub badylarz nie ma prawa wpaść w furję, gdy dowie się, że trzeba go obłożyć podatkiem, który jest tak wysoki, że sta-

regionów — właśnie Lubelszczyzna. Tuż po zimie stulecia zebrano ledwo dziesięć procent plonów z lat poprzednich. W roku następnym już było lepiej, lecz nie na tyle, by można mówić o tzw. klęskach urodzaju, które to klęski zresztą w istocie są nieudolnościami skupu, a zwłaszcza przetwórstwa i eksportu. Te wszystkie zakłócenia i klęski nie nadwątliły zadawnionego przekonania o tym, że zasoby finansowe sadowników są ogromne, a samo sadownictwo lukratywną enklawą rolnictwa, która bez uszczerbku może znieść nawet drastyczne podrożeń kosztów produkcji, a bez szemrania — udziiesięciokrotnienie podatków.

Tymczasem sadownictwo, jako system upraw wieloletnich, będących inwestycją na całe ludzkie pokolenie, potrzebuje trwałych stabilnych warunków rozwoju. Decyzję o uprawianiu hektara pomidorów i ogórków podejmuje się raz na rok, w następnym roku można w tym miejscu zasadzić czy zasiać cokolwiek innego. Sad trwa ponad dwadzieścia lat. Wymaga olbrzymich nakładów (budynki, maszy-

Czy sadownik w związku z tym dołożył do tego interesu? Otóż nie, bo znów trzeba odliczyć z tych kosztów robociznę całej jego rodziny. On nawet zainkasował w żywej gotówce kilka milionów złotych, choć to nie jest czysty zarobek, gdyż w tym wszystkim tkwi roczna częśćka zużytych maszyn, specjalistycznych urządzeń, ogrodzenia sadu, a także częśćka tzw. wieku produkcyjnego sadownika i całej kosztownej infrastruktury sadowniczej, w którą właściciel inwestował od wielu lat.

Tak więc swoje jabłka sprzedał o dwa złote taniej niż wyniosły koszty produkcji. Załóżmy nawet, że te szacunki liczbowe mogą być w rzeczywistości nieco — tylko nieco — korzystniejsze dla producenta. Ale nad tym marginesem niedokładności szacunków stoi bezlitosny gwarant w postaci wysokiej stopy inflacji złotych. Cykl produkcyjny kilograma jabłka trwa rok. Złotówki, które sadownik zainwestował w kilogram przed pół rokiem, straciły w momencie sprzedaży realnie — lekko licząc — 60 złotych z każdej setki!

Od 1981 roku ceny skupu jabłek wzrosły czterokrotnie. A jak rosły ceny tzw. środków produkcji?

Ciągnik „Ursus”, podstawowa maszyna w rolnictwie, a więc i sadownictwie, zdrożał 10-krotnie — ze 144 tys. zł w 1981 roku do 1 440 tys. zł w roku ubiegłym. Druga podstawowa maszyna w sadzie, opryskiwacz „Słęza” zdrożał 9-krotnie. Z kolei podstawowy środek do oprysków — „Syllit”, zresztą coraz gorszej jakości, zdrożał 17-krotnie. „Owados” — 15-krotnie. „Rubigan” — 10-krotnie. W tym samym tempie drożały rozdrabniacze do gałęzi, kosiarki traw, samochody dostawcze, materiały budowlane, a np. cement, aż 16-krotnie. Koszt ogrodzenia sadu wzrósł ponad 10-krotnie.

W sumie, razem z ceną drzewek i bocizny, koszt założenia jednohektarowego sadu oblicza się dziś na 5 mln złotych. Ale sad jednohektarowy jest zupełnie nieopłacalny, nie amortyzuje nakładów na maszyny i budynki. Opłacalność rozpoczyna się od trzech hektarów. Rolnik, który posiada w gotówce 15 mln złotych, bez trudu obliczy, że zamieniając te pieniądze na „zielone” i wpłacając je na konto 11-procentowe, każdego roku będzie miał dopisaną tytułem odsetek równowartość około 1600 tysięcy złotych. Na pierwszy towarowy plon z sadu jabłoniowego czeka się 6—7 lat, natomiast w ciągu tych 7 lat wspomniane konto dewizowe niemal podwoi się...

Bank nie chce udzielać pożyczek na założenie sadu. Ma za mało kredytów. Pierwszeństwo uzyskują hodowcy trzody i bydła, bo mięso jest rozstrzygającym w skali PRL produktem. Rezultat taki, że w ubiegłym roku do lubelskiego WZSOP nie zgłosił się ani jeden kandydat na sadownika! Areal nasadzeń nie zwiększa się. Cały materiał szkółkarski jest przeznaczany na dosadzenia pomrozowe i rekonstrukcję starych sadów.

Na jednej z narad Wojciech Jaruzelski zapytał nestora polskiego sadownictwa, prof. Pieniżka, co trzeba zrobić, by sadownictwo mogło się dalej rozwijać? Profesor odpowiedział trochę przewrotnie: nic nie robić. Miał na myśli starą lekarską zasadę: po pierwsze — nie szkodzić. A może wiedział już o ministerialnym pomysle udziiesięciokrotnienia podatków?

Tymczasem nie tylko, że nic się nie robi, lecz, jakby na przekór deklaracjom nowego premiera o promocji rolnictwa, jedyny producent opryskiwacza „Słęza” zmniejszył roczną produkcję tego niezastąpionego w sadzie urządzenia z 400 sztuk w latach poprzednich do ledwo 40 w roku ubiegłym. W czasach, gdy wrocławski „Polimet” produkował nawet 600 „Słez” rocznie, Lublin otrzymywał z tego 100 sztuk. W roku ubiegłym nadesłano tylko pięć sztuk! Powodem klęski „Polimetu” jest brak dewiz na zakup komponentów do produkcji plastikowych zbiorników opryskiwacza. Bez tych komponentów zbiorniki pękają przy pierwszym napelnieniu wodą. Ale „Polimet” nie martwi się — przerzucił się na jakąś inną produkcję. Podobno dla resortu, który nigdy nie miał zmartwień o złotych...

- Co robić, żeby sadownictwo mogło się rozwijać? - Nic nie robić.

DLACZEGO BADYLARZ NIE ŚPIEWA ?

Henryk Pałak

dzie rozstawić nocne warty przy tym temacie. Znenawidzone przez ustrój badylarstwo i wszelka kłująca w oczy nierobów nierówność wciąż jeszcze, na przekór hasłom gospodarczego pluralizmu i przedsiębiorczości, ma kiepską prasę.

Zawsze było i będzie tak, że każdy podatnik jęknie na samą wzmiankę o podwyżce podatku. To normalne, ale czy jęk badylarzy i sadowników był uzasadniony? Przyjrzyjmy się, jak stoją ich interesy. Bo choć niebezpieczeństwo chwilowo zażegnane huśtawką foteli, to jednak niezdrowa atmosfera wokół plantatorów wciąż utrzymuje się. Bierze się ona, jak zawsze, z przekonania o ich nadzwyczajnych dochodach i bogactwie.

Sięgnijmy do zestawienia sporządzonego przez Wojewódzką Spółdzielnię Ogrodniczo-Pszczelarską w Lublinie. Analizą objęto w nim główne owoce oraz wszelakie zieleńce, skupowane, a następnie „rzucane” do sklepów przez placówki WSOP. Zestawienie obejmuje takie dane, jak średni plon i koszty produkcji z hektara, koszt produkcji jednego kilograma oraz cenę skupu i wskaźnik wzrostu w stosunku do roku poprzedniego, czyli 1987.

Porównajmy niektóre liczby. Szacunkowy koszt produkcji pomidorów na areale jednego hektara (16 ton) wynosi aż 1 204 tys. złotych, ogórków i kalafiorów późnych — około 1 200 tys. złotych. Jak to się ma do opłacalności? Koszt produkcji jednego kilograma ogórków wypada wówczas w granicach 66 złotych, a ich cena w skupie — 68 złotych. Kalafiory odpowiednio 77 i 60 złotych, cebula zaś 65 i 52 zł. A zatem poniżej opłacalności!

Tego się jednak nie widzi. Na targu widzi się tylko badylarza, który „drze” forszę z biednego mieszcza. W koszta produkcji jest wliczona całoroczna praca plantatora i pozostałych członków jego rodziny. Tej pracy nie zobaczy się na zieloniaku; widzi się jedynie piękne owoce i warzywa oraz pieniądze, które sprzedający chowa do kieszeni.

A jak ma się sprawa z owocami? Truskawka w ubiegłym roku nie udało się, toteż koszt produkcji jednego kilograma szacuje się na 170 złotych, a cenę skupu tylko na 166 złotych. Najbardziej opłaciła się malina: koszt 150 zł, cena aż 577. Ale to się długo nie powtórzy. Malina triumfowała wskutek klęski truskawek. Lubelszczyzna produkuje 30 proc. całych krajowych zbiorów truskawki — około 12 tys. ton. Z powodu braku truskawek przemysł przetwórczy oraz rynek prześcigały się w podbijaniu cen malin. Korzystali na tym niektórzy handlarze. Dysponując własnym transpor-

wia pod znakiem zapytania sens całej tej zabawy?

Szczególne miejsce w tych rozważaniach i frustracjach zajmuje sadownictwo, a w nim uprawa jabłoni. Jest to owoc rozstrzygający o całej kondycji sadownictwa, sadowników, a

ny, środki ochrony), a przede wszystkim wieloletniej, w istocie pokoleniowej wiedzy i doświadczenia.

Piękne domy i „polonezy” stojące na podwórzach sadowników w Grójeckim czy na lubelskim Powiślu — to dorobek nie jednego, lecz dwóch



także o zaopatrzeniu rynku w owoce, nie mówiąc już o znacznych wpływach dewizowych z tytułu eksportu jabłek, moszczy i soków.

Zima stulecia spowodowała przemarznącie ponad 30 mln. drzew, wiele tysięcy do tej pory jeszcze ledwo dyszy. Zbiory zmniejszyły się drastycznie.

Pojęcie: zima stulecia jest jedynie przenośnią, sugerującą niesłusznie, że następne mrozy o takiej skali możemy przeżyć średnio dopiero za sto lat. W istocie zima stulecia może powtórzyć się lada rok — tu niczego nie da się zaplanować ani zadekretować.

Najbardziej ucierpiał odmiany Jonathana z sadów, które były posadzone w zagłębieniach terenu, a z

pokoleń rodzinnych. Ale widok tych dóbr kłuje w oczy, sugeruje, że mamy do czynienia z irytującą enklawą nadzwyczajnie korzystnej dziedziny rolnictwa.

Gdyby nie zima stulecia, dziś płacilibyśmy na rynku za jabłka nie 300, lecz 150 złotych. Średnia cena, jaką sadownik otrzymuje za swoje owoce, jest znacznie niższa. Po pierwsze, to nie on sprzedaje w detalu, lecz handlarz czy sklep spółdzielczy. Po drugie, spora ilość jabłek wędruje do zakładów przetwórczych jako tak zwane jabłko przemysłowe po kilkakrotnie niższej cenie skupu niż ceny owoców konsumpcyjnych. Rezultat jest taki, że średnia cena jabłek w skupie wyniosła w ubiegłym roku dokładnie 66 zł i 26 groszy za kilogram. Natomiast koszt produkcji tego kilograma zamknął się kwotą 68 złotych.

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA ? (3)

BUDUJEMY WŁADZĘ OD GÓRY

Janusz Wrona

GENERAŁ Berling protestował przeciwko przymusowemu odelegowaniu go do Moskwy. Według relacji Jakuba Bermana (vide: Teresa Torńska, „Oni”, Londyn 1985) i Leona Chajna (autoryzowane wspomnienia, nagrane i spisane w Archiwum KC PZPR w latach 1980-81), rozpoczął w ambasadzie polskiej w Moskwie, którą przetrwał po depeszy J. Bermana, sugerującej, iż powrót Berlinga do kraju będzie możliwy w niedługim czasie. Nastąpiło to 10 lutego 1947 r. Powierzono mu stanowisko komendanta Akademii Sztabu Generalnego w Warszawie, które sprawował do połowy 1953 roku.

Czy wyjazd generała Berlinga był konsekwencją różnic politycznych i programowych w obozie PKWN, czy też wynikał z animozji personalnych?

Najprawdopodobniej zaistniały obie okoliczności. Berling konsekwentnie akcentował rolę wojska jako przyszłej decydującej siły w Polsce. „Spór, który zaistniał naprawdę — stwierdził po latach J. Berman — powstał na gruncie tegoż numer jeden i numer dwa, kreślących kształt przyszłej Polski. [...] Dopatrzono się w nich recydywy ciągłości legionowych z czasów Piłsudskiego. [...] Wojsko więc, a nie partia, miało być czynnikiem decydującym w przyszłej Polsce, miało rządzić, co nie mogło nam odpowiadać. Nie po to przecież powstało w kraju PPR i później Centralne Biuro Komunistów w Moskwie, żeby znaleźć się na marginesie. Wywiązała się dyskusja. Na tym gruncie powstały teży numer dwa, opracowane przez Hilarego Minca i Romana Zambrowskiego, w których partii i ideologii przyznawano decydującą rolę w kształtowaniu przyszłej Polski. Zambrowski też się jednak w nich trochę zagalopował, bo w tezach zapowiadał ustrój demokratyczno-liberalny, parlamentarny, co wynikało ze złudzeń, a nie z oceny rzeczywistości”.

W październiku 1944 r., według informacji Stanisława Radkiewicza, na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR „Berling proponował stworzenie polskiej dywizji, w której nie byłoby oficerów sowieckich”. Jakub Berman skomentował to wówczas następująco: „Oficerów sowieckich nie możemy się wyrzec. Stanowczo przeciwstawialiśmy tworzeniu jakichś specjalnych dywizji polskich, które mają być gwardią pretoriańską przyszłych zamachów stanu”.

Odejście generała Berlinga ze sceny politycznej w grudniu 1944 r. należy także rozpatrywać w kontekście sprawy pomocy powstaniu warszawskiemu. Sugerował to niejednokrotnie sam generał. O wzajemnej zależności tych wydarzeń pisał też J. Nowak w paryskich „Zeszytach Historycznych” (1976, t. 37). Polemicznie odnosi się do tych ocen obserwator ówczesnych wydarzeń, Leon Chajna: „Autorowi tego artykułu wydarzenia związane z odejściem Berlinga, o których mówiłem, nie są znane. Lansuje on tezę, że Berling został zdjęty dlatego, że wbrew stanowisku Związku Radzieckiego przeprawił batalion przez Wisłę i okazał pomoc powstańcom. Otóż jest to absolutnie nieprawda. Będąc wówczas dość blisko Berlinga, zapoznałem się z pewnym dokumentem, który obala tę tezę. Jest prawdą, że Berling, Bierut i inni działacze byli głęboko przejęci losem powstańców warszawskich i zabiegali o możliwość okazania militarnej pomocy powstaniu. Pamiętam nawet, że w Lublinie Rokossowski zorganizował któregoś dnia wyjazd na linię frontu dla szeregu działaczy z Bierutem na czele. Brałem udział w tej wycieczce i Rokossowski przekonywał, że było niemożliwością okazanie w tym czasie pomocy powstańcom przez wojska radzieckie z uwagi na bardzo rozciągnięte linie komunikacyjne, sięgające Kijowa itd. Ale to nie jest ważne. Otóż kiedy Berling bardzo nalegał na przyjęcie z pomocą powstańcom, zwrócił się w tej sprawie do Rokossowskiego, który odpowiedział mu pisemnie — ja ten list czytałem. Treść tego listu była mniej więcej taka: Rokossowski rozumie uczucia, jakimi kieruje się Berling, w

pełni docenia jego pragnienie, ale ze względów wojskowych i strategicznych, jak również z powodu przypuszczalnie wielkich strat, jakie musiałaby ponieść armia polska, gdyby taka rzecz została przedsięwzięta, niemożliwe jest okazanie tej pomocy. Rozumiejąc jednak uczucia Berlinga i względy, którymi się kierował, zezwała mu — mimo tych zastrzeżeń na podjęcie jakiegokolwiek akcji w obronie powstania. Berling w oparciu o ten list Rokossowskiego podjął desant”.

Po latach o ówczesnej sytuacji generał Berling mówił następująco: „Po drugiej stronie Wisły już szósty tydzień płonęła Warszawa. To było nie tylko miasto, w którym walczyli i ginęli Polacy. To była stolica mojego państwa, mogłem podjąć tylko jedną decyzję i podjąłem ją bez wahania. Dałem rozkaz przejścia do uderzenia przez Wisłę na pomoc walczącemu miastu. Bez względu na to, czy miało to szansę powodzenia, czy nie, czy ta pomoc mogła być efektywna, czy nie, wszystko schodziło na dalszy plan wobec sytuacji, w jakiej znajdowała się walcząca stolica”.

Historik nie może traktować jako rozstrzygającej opinii L. Chajna na temat stosunku ZSRR do powstania warszawskiego i relacji, jakie zachodziły między odejściem Berlinga a nieudanymi działaniami 1 armii Wojska Polskiego w obrębie Warszawy. Problemy te wymagają badań źródłowych, w tym poznania materiałów znajdujących się w archiwach radzieckich.

W okresie lubelskim gen. Berling był uwikłany w konflikty personalne już nie z W. Wasilewską, która w życiu politycznym w okresie PKWN praktycznie nie uczestniczyła, lecz z innymi komunistami. „Zygmunt Berling był szczególnie wrogo nastawiony do Hilarego Minca — zauważył L. Chajna — między nimi w Lublinie dochodziło do spięć i różnych tarć, tylko z Berlanem utrzymywał jakieś takie stosunki”.

Konflikt z Mincem wywodził się z okresu jego służby w armii. Potwierdza to zarówno Berling, jak i Berman, który był przyjacielem Minca. Jednym z bezpośrednich powodów miała być sprawa ukarania dezertera (wg Berlinga) bądź sprawcy kradzieży żywności (wg Bermana). „Berling — pisze Berman — domagał się niesłychanie ostrego wyroku, może nawet kary śmierci i Minc bardzo zdecydowanie się temu sprzeciwił, czym przypieczętował swój własny los, został zdjęty i zdegradowany”.

Decyzję w sprawie degradacji Minca podjął sam Berling. W niepublikowanych pamiętnikach moment ten przedstawił następująco: „Wezwałem Siwickiego. Bądź tak dobry i odpruj mu te zbyteczne odznaki majora. Siwicki z kamienną twarzą wyjął szczyryk i zabrał się do oficjalnej operacji. Nie ukrył jednak, że sprawiło mu to niekłamany przyjemność. Wiedziałem, że nienawidzi Minca za jego nonszalanckie, lekceważący stosunek do siebie. [...] W Moskwie reakcja była bardzo silna. Sekta: Lampe-Berman-Borejsza rzuciła na mnie wszystkie możliwe gromy i groźby odwetu, które miałem zapamiętać do końca życia”.

Niechęć Lampego do Berlinga tłumaczyła W. Wasilewska następująco: „Chodziło o pewne nieporozumienia trochę wcześniejsze, tj. o sprawę, jaką rolę może polska armia odegrać w rzeczywistości. Czy to może być siła decydująca i siła, która może być podstawą przyszłej armii polskiej, czy to jest raczej symboliczne pokazanie światu, że żołnierze polski istnieją. Lampe w pewnym okresie miał wątpliwości, czy taki olbrzymi wysiłek, który będzie potrzebny dla stworzenia armii, w naszych warunkach jest słuszny. Potem doszedł do przekonania, że tak, ale w pewnym okresie miał pewne wątpliwości co do realnych możliwości [stworzenia] armii”.

MIEDZY 18 a 20 lipca 1944 r. w Moskwie zapadły ostateczne decyzje w sprawie wyłonienia ośrodka władzy w Polsce. W tym cza-

sie wojska prawego skrzydła i Frontu Ukraińskiego w kilku punktach sforsowały Bug. Na kolejnych posiedzeniach, w których uczestniczyli przedstawiciele KRN, CBKP i ZPP, wypracowano przy udziale J. Stalina koncepcję powołania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, stanowiącego de facto drugi rząd polski. Równocześnie opracowano Manifest PKWN. W trakcie tych prac „Stalin reprezentował linię rozsądku i hamowania naszych, może zbyt rewolucyjnych sformułowań”, jak relacjonowała W. Wasilewska.

PKWN i jego program nie postulował więc radykalnych przeobrażeń struktur politycznych, gospodarczych i społecznych państwa, z wyjątkiem reformy rolnej, choć i tutaj radykalizm wyrażał się głównie w sposobie jej realizacji. Konsekwentnie rozwijał natomiast koncepcję uzależnienia od komunistów istniejących instytucji władzy. Sformułowanie Manifestu starano się zatem nadać charakter elastyczny. Szukając źródeł legalizmu PKWN, odrzucono konstytucję kwietniową i zaakceptowano podstawowe zasady konstytucji z 1921 r., ale nie całą tę konstytucję...

Wiele miesięcy później to ostatnie stanie się podstawą dla opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego, by wykazać wewnętrzną sprzeczność zawartą w sformułowaniu podstawowego dokumentu PKWN: „Manifest Lipcowy zapowiedział — pisano w komunikacie Sekretariatu Naczelnego PSL — że Krajowa Rada Narodowa jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Manifest, jak widzimy, przyjął zasadę niepodzielności najwyższej władzy w Państwie. Władza ta powstała w sprzeczności z art. 2 Konstytucji Marcowej, który stanowi, że władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu, a organami Narodu w zakresie ustawodawstwa są: Sejm i Senat, w zakresie władzy wykonawczej Prezydent Rzeczypospolitej łącznie z odpowiedzialnymi ministrami, a w zakresie wymiaru sprawiedliwości — niezawisłe sądy. [...] Zasada niepodzielności najwyższej władzy w Państwie według Manifestu kłóci się z zasadą trójpodziału władz według Konstytucji Marcowej. Niejasna jest zatem deklaracja o obowiązywaniu podstawowych założeń Konstytucji Marcowej, skoro założenia te zostały przez Manifest przekreślone”.

W niespełna cztery tygodnie od ogłoszenia swojej platformy polityczno-programowej PKWN zdecydował się na istotne odstępstwo od deklarowanej w lipcu zasady sprawowania władzy „poprzez wojewódzkie, powiatowe, miejskie, i gminne rady narodowe i przez upelnomocnionych swych przedstawicieli”. Była to zasada zgodna z koncepcją zaprezentowaną w Deklaracji KRN. Tymczasem w Dzienniku Ustaw nr 2 z 22 sierpnia 1944 r. przywrócono dawny, przedwojenny system administracyjny Polski, oparty na instytucji starostów i wojewodów.

Rady narodowe pozbawione istotnej władzy, stały się elementem dekoracyjnym tworzącego się systemu władzy. Z mocy prawa, w praktyce nie zawsze egzekwowanego, zachowały one tylko funkcje opiniotwórcze i kontrolne.

Motywy tej decyzji i poszukiwanie nowych rozwiązań związane było z układem sił na terenach wyzwolonych i brakiem szerszego poparcia społecznego dla PKWN. Edward Osóbka-Morawski podczas dyskusji w redakcji „Płomieni” określił to następująco: „Walczyliśmy ciężko o wpływy w kraju, o duszę polskiego narodu dla lewicowej koncepcji. Oceniam, że zaczęliśmy w Lublinie od 5 proc. wpływu [...]”.

Świadomość słabości swych pozycji w społeczeństwie miało również kierownictwo PPR. We wrześniu 1944 r. odrzucono koncepcję tworzenia gromadzkich rad narodowych. Członkowie

Biura Politycznego argumentowali tę decyzję m.in. następująco: „Rady Gromadzkie mogą się w dzisiejszej sytuacji całkowicie znaleźć w rękach wrogów” (J. Berman); „Budujemy władzę przede wszystkim od góry. Wybory 5-cio przymiotnikowe [do rad — przyp. J. W.] ani nie wzmocnią autorytetu PKWN, ani nie wzmocnią demokracji. Występując przeciwko tworzeniu Rad Gromadzkich na obecnym etapie” (M. Spychalski); „Stworzylibyśmy tylko prawne oparcie dla reakcyjnych żywiołów w masie gromad. Politycznie dojrzejże sytuacja, gdy my przeoramy wieś” (W. Gomułka).

Zrezygnowano także z deklarowanej w Manifestie PKWN podległości Milicji Obywatelskiej radom narodowym, mimo iż dekret PKWN o powołaniu MO w swojej pierwotnej wersji taką zasadę utrzymywał. Wyjęcie milicji spod kontroli rad narodowych i organizacyjne podporządkowanie jej resortowi bezpieczeństwa w dużym stopniu wzorowane było na doświadczeniach radzieckich.

Upowszechniali te doświadczenia także doradcy radzieccy, wprowadzeni — według Edwarda Osóbki-Morawskiego — „bez poinformowania i uzyskania na to zgody PKWN. Być może, że minister bezpieczeństwa uzgodnił to zaproszenie z władzami PPR, gdyż władze i członkowie tej partii bardzo ściśle współpracowały z organami bezpieczeństwa publicznego, gdyż podmiemu najwięcej atakowało zbrojnie członków PPR. Niewykluczone, że doradców radzieckich zaproponowali sami towarzysze radzieccy (Stalin czy Beria), a towarzyszem z PPR nie wypadało tej pomocy odrzucić, gdyż sami stawiali pierwsze kroki na tym odcinku” („Historia i Życie” 1988, nr 29).

Poza państwowymi organami ochrony i bezpieczeństwa w rękach PPR od samego początku znajdowały się ośrodki dyspozycyjne armii. Pozostała część aparatu państwowego opierała się w dużej mierze na kadrze przedwojennej. Nie oznaczało to, iż pozyskanie dla PKWN inteligencji przebiegało bezkonfliktowo. Wręcz przeciwnie. Leon Chajna, mający do czynienia jesienią 1944 r. głównie ze środowiskiem prawniczym, przytacza przykłady wewnętrznych konfliktów, jakie przeżywali ludzie, z jednej strony chcący pracować dla Polski, z drugiej zaś negatywnie nastawieni do komunistów i PKWN.

W tym kontekście Chajna wyciągnął bardziej ogólny wniosek, nie zawsze dostrzegany w literaturze historycznej: „A poza tym ci, którzy najuczciwiej podchodzili do tej sprawy, uważali, że póki nie zwolnią ich od przysięgi na wierność rządowi londyńskiemu, to nie przystąpią do współpracy z tą władzą. Mówię tu przede wszystkim o inteligencji. W tym tkwi w pewnym sensie nasz fatalny układ w takich resortach jak bezpieczeństwo, wojsko, handel zagraniczny. [...] Ponieważ nie chcieli z nami współpracować, musieliśmy powsadzać w 1944 r. nie przygotowanych ludzi na odpowiednie stanowiska kierownicze. Natomiast w okresie późniejszym, kiedy następowała likwidacja AK, [...] [chodzi o rok 1945 — przyp. J. W.] nie potrafiliśmy wykorzystać tego nastroju, jaki wytworzył się w kraju, i spowodować przejścia na nasze pozycje [...] i byłych akowców nakłonić do lojalnej współpracy. Odzyskanie Ziemi Zachodniej, odbudowa kraju oraz wiele innych spraw zachęcały do współpracy. Miarą tego, jak nie umieliśmy tego wykorzystać, było sławetne hasło: »zapłaty karzeł reakcji«, i co gorsza ogłosiliśmy amnestię dla wszystkich, którzy się zgłoszą, a gdy zgłosili się, sadzaliśmy ich do więzienia. Czy to było wyrazem wąskiego horyzontu naszej kadry kierowniczej?”.

Odpowiedź, jakiej udzielił na to pytanie L. Chajna, i próba zanalizowania podniesionego problemu od strony stępných źródeł — w kolejnym cinku.

(cdn.)

THIS IS SKY...NA ŁĘGACH

Izabella Wlazłowska

20 STYCZNIA 1989 roku. Jedenaście piętro wieżowca przy ulicy Wiklinowej 4 na osiedlu „Łęgi” w Lublinie. Za chwilę rozpocznie się eksperyment.

Poprzedniego dnia powracający z pracy mieszkańcy osiedla zatrzymywali się i zadzierali głowy do góry. Na dachu wieżowca zainstalowany został wielki, jasny talerz anteny satelitarnej.

Wiesław Piekarz i Zenon Ciechański — pracownicy Specjalistycznej Spółdzielni Pracy Elektroniki, Informatyki i Organizacji „Infel” w Lublinie — pochyleni są nad zwojami kabli i przyłączają. Asystują im: Marek Wereski i Franciszek Ulanowski z Centrum Produkcyjno-Usługowego „Ansart”. Jeszcze kilka sprawdzeń i...

O historii eksperymentu opowiada Czesław Kozielec, przewodniczący Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców osiedla „Łęgi”:

— Mieszkańcy kilku bloków usytuowanych nieco niżej niż pozostałe zaczęli się skarżyć, że nie mogą odbierać II programu TV ze względu na tzw. odbicia. Zwróciliśmy się do Spółdzielni

Dźwigowo-Instalacyjnej „Azart”, aby wykonała wielką antenową instalację zbiorczą. I w trakcie tej pracy powstał szalony pomysł, który za chwilę zostanie ostatecznie zrealizowany.

Do „szalonego pomysłu” włączyła się bowiem Spółdzielnia „Infel”, która postanowiła wpuścić w sieć instalacji zbiorowej — sieć sygnałów satelitarnej. Cały ten eksperyment, pierwszy w naszym regionie, miał się odbyć na koszt „Infelu” i na ich urządzeniach.

— Oczywiście natychmiast należało z tego skorzystać — mówi Czesław Kozielec. — Razem z kierownictwem Spółdzielni Mieszkaniowej „Czuby” podjęliśmy działania legalizujące zainstalowanie anteny satelitarnej na „Łęgach”. Od 1 listopada ubiegłego roku zmieniły się nieco przepisy, które już zezwalały na tymczasowy odbiór telewizji satelitarnej w instalacji zbiorowej — osiedlowej.

Rozmowę przerywa okrzyk: „Już!”. Idziemy do mieszkania nr 45 b znajdującego się opodal „studia”. Janusz Strąk, właściciel mieszkania, włącza telewizor kolorowy. Pracownik „Infelu” przełącza go na kanał 5. Jest go-

dzina 10.40. Chwila napięcia. Obrazu nie ma. Trzeba jeszcze coś sprawdzić.

Jest. Jest program „SKY”, wizja, kolor i fonia. Udalo się. Przyjeżdżają koleźcy z „Panoramy Lubelskiej”. Sprawdzamy odbiór w mieszkaniu położonym piętro niżej. Wszystko w porządku.

— Tak musi być — twierdzi Wiesław Piekarz, pracownik „Infelu” — ponieważ zainstalowaliśmy urządzenia japońskiej firmy „Maspro”, przystosowane do pracy przez pełne 24 godziny na dobę. Urządzenia te przystosowane są także do odbioru polskiej fonii. Na razie odbierać będzie telewizję satelitarną dziewięć bloków przy ulicy Wiklinowej i Tatarakowej, i to zarówno na telewizorach kolorowych, jak i czarno-białych.

Przewodniczący samorządu mieszkańców już się martwi:

— Przez 10 tygodni „Infel” będzie eksperymentował bezpłatnie. A potem? Koszt wszystkich urządzeń wynosi ponad 25 milionów złotych. Na „Łęgach” jest około 1600 mieszkań. Od jednego mieszkania wyniosłoby to około 17 tys. złotych i każdy miałby telewizję satelitarną w domu. Czy wszyscy mieszkańcy osiedla zgodzą się na to?

„This is »SKY«” — słyszymy z małego monitora kontrolnego znajdującego się w małym pomieszczeniu na 11 piętrze wieżowca...

TRADYCYJNIE na początku roku kierownictwo lubelskich organów MO i SB organizuje konferencje prasowe poświęcone minionemu rokowi. W końcu ubiegłego tygodnia uczestniczyliśmy w takim spotkaniu. Prowadził ją szef WUSW płk Aleksander Chochorowski wraz z zastępcami: płk. Andrzejem Koczarskim i płk. Antonim Kowalskim.

KONFERENCJA PRASOWA W WUSW

LUBLIN W PRZESTĘPCZEJ CZOŁÓWCE

Jak się okazuje, skutki kryzysu widoczne są wyraźnie w statystyce. Także milicyjnej. W 1988 roku (relatywnie do 1987) nastąpił wzrost przestępczości we wszystkich jej rodzajach, poza wyjątkiem przestępstw przeciwko mieniu społecznemu. Jak komentował ów fakt płk Koczarski, gdy nie ma nic na półkach, to po co się włamywać. Natomiast w przypadku mienia prywatnego wzrost takich czynów jest widoczny (plus 20

proc.). Dotyczy to głównie włamań do mieszkań oraz kradzieży pojazdów lub włamań do nich i ich ograbiania. Tu kuriozalny przypadek okradzenia „malucha” na... 14 mln złotych. Skąd taka wartość? Właścicielka pozostawiła w nim m. in. futro z soboli.

Nastąpił wzrost przestępczości kryminalnej w ogólnej liczbie czynów karalnych (o 18 proc.). Spadła, niestety, wykrywalność z 82 proc. na 77

proc. Przyczyny leżą w większej specjalizacji środowisk kryminalnych. Działają one sprawniej oraz nastawiają na maksymalizację zysków (poprzez dokładne rozpoznanie), rozszerza się także sieć paserska, innym zjawiskiem jest system „gościny występów” (po wykonaniu „roboty” przestępcy natychmiast przenoszą się w inny koniec Polski). Obserwuje się również (plus 14 proc.) wzrost przestępczości gospodarczej, czemu nota-

bene sprzyja kiepski system kontroli w zakładach.

Ogółem odnotowano także 180 tysięcy wykroczeń, 15 tysięcy spraw skierowano do kolegiów wymierzono 83 tysiące mandatów, a w izbie wytrzeźwień umieszczono 13 tysięcy osób.

Lubelskie lokuje się, niestety, w czołówce przestępczości. W dziedzinie przestępstw kryminalnych jest to miejsce siódme, 6 — w rozbojach, 5 — w kradzieżach na szkodę prywatną. Od 1980 roku wzrost przestępczości osiągnął pułap 50 proc.

Jednocześnie następuje systematyczny spadek nakładów budżetowych na resort spraw wewnętrznych, stale utrzymuje się również spora liczba wakacji, bowiem atrakcyjność pracy w MSW nie jest aż tak wielka, jak się przypuszcza.

Z satysfakcją usłyszeliśmy także o nowej polityce informacyjnej wobec resortu. Dziennikarze będą mieli większy dostęp do spraw prowadzonych przez służby operacyjne. Nie ma również powodów pokazywania tylko i wyłącznie blasków pracy MO i SB, a unikania ich krytyki.

(Red.)

NIE MA BOOMU

W KOŃCU stycznia br. w czterech województwach regionu śródkowowschodniego zarejestrowanych było 635 spółek z ograniczoną odpowiedzialnością i 23 przedsiębiorstwa zagraniczne drobnej wytwórczości (tzw. firmy polonijne). Najwięcej spółek — 438 — istniało w województwie lubelskim. 367 z nich zgłosiło chęć działania w ubiegłym roku, trzy zarejestrowano w styczniu br., już po wejściu w życie ustawy o podejmowaniu działalności gospodarczej. W woj. zamojskim zawiązały się 84 spółki z o.o. (82 w ubiegłym i 2 w bieżącym roku), w chełmskim — 60 (odpowiednio: 58 i 2). Najmniej firm tego typu zarejestrował Sąd Rejonowy w Białej Podlaskiej. Spośród 53 białkopodlaskich spółek — 52 powstały w ubiegłym roku, jedna przed dwoma laty.

Największym zainteresowaniem zagranicznych i polonijnych biznesmenów cieszy się, jak dotąd, Lubelszczyzna. Utworzono tutaj 17 przedsiębiorstw zagranicznych, z których 5 zarejestrowano w zeszłym roku. Nie wzbogaciły się natomiast inne województwa. W białkopodlaskim działały trzy firmy z udziałem kapitału zagranicznego; w zamojskim — dwie; zaś w chełmskim jeden „rodzynek”: PZ „Magnus”, założone w 1987 roku.

Jak wynika z tego pobieżnego zestawienia, boomu inwestycyjnego w tym względzie nie widać. W Polsce działa obecnie przeszło 500 przedsiębiorstw zagranicznych i kilkanaście tysięcy spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Na tym tle nasz region nie przedstawia się szczególnie imponująco. Wejście w życie nowych ustaw gospodarczych zmieniło niewiele. W styczniu br. powstało zaledwie 7 spółek, nie zarejestrowano żadnej nowej firmy zagranicznej. Na razie „na wschodzie bez zmian”.

(W)

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr Lalki i Aktora:

4.02, 5.02, 7.02 godz. 12 oraz 8.02 godz. 10, 12: „Don Zan”, anonim czeski, reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny:

5.02—7.02 — występy gościnne w Olsztynie i Elblągu.

WOJEWÓDZTWO BIALSKOPODLASKIE

Aktorzy z Zespołu Edukacji Teatralnej w Warszawie zapraszają dzieci w dniach 3.02—6.02 na spektakl pt. „Zaczarowana studnia”. Przedstawienia odbywać się będą w wielu miejscowościach woj. białkopodlaskiego (bliższych informacji udziela WDK Biała Podlaska, tel. 332-48).

WOJEWÓDZTWO ZAMOJSKIE

2.02 w Tarnogrodzie rozpoczyna się XIV Międzywojewódzki Sejmik Wiejskich Zespołów Teatralnych, z udziałem zespołów z województw południowo-wschodniej Polski. Organizatorzy — Wojewódzki Dom Kultury w Zamościu, Tarnogrodzki Ośrodek Kultury oraz Towarzystwo Kultury Teatralnej.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 3.02 godz. 19: koncert kameralny. Wystąpi Trio Fortepianowe Filharmonii Lubelskiej w składzie: Maria Swieca — skrzypce, Maria Blaszczak — wiolonczela, Corelli Swieca — fortepian. W programie utwory Ludwiga van Beethovena i Fryderyka Chopina.

PLASTYKA

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — do 15.02 czynna będzie wystawa pokonkursowa pt. „Grafika Roku 88” (ul. Narutowicza 10).

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — do 18.02 czynne będą wystawy: — Walentego Wróblewskiego — rysunek. — Jana Stanisława Wojciechowskiego — rzeźba.

Muzeum na Zamku — do 28.02 wystawa medalierstwa, poświęcona pontyfikatowi Jana Pawła II.

Galeria „Labirynt” (ul. Grodzka 3) — do 28.02 wystawa instalacji Janusza Baldygi pt. „90”.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — do 28.02 wystawa rzeźby Zbigniewa Dudka.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

BWA — do 12.02 wystawa rzeźby „Hajnowka 88”.

W CHELMIE

WDK (sala lustrzana) — do 15.02 wystawa prac chełmskich artystów.

WDK (kawiarnia) — do 15.02 wystawa fotografii artystycznej Ryszarda Karczmarzkiego.

W ZAMOŚCIU

BWA — do 3.02 wystawa malarstwa Ludwika Jabsztosa.

Arsenal (ul. Zamkowa 2) — do 31.03 wystawa pt. „Pocztówka zamojska”.

8.02 godz. 14. BWA — otwarcie wystawy pt. „Dziecko w medalierstwie”.

ROZRYWKA

2.02 DEBLIN (GKO „Lotnisko”), 3.02 LUBARTÓW (Spółdzielczy Dom Kultury), 4.02 HRUBIESZÓW (Dom Kultury), 5.02 WŁODAWA (Dom Kultury) — recital Tadeusza Rossa pt. „Życie przerosło kabaret”.

2.02 godz. 17, 19: Wojewódzki Dom Kultury w ZAMOŚCIU zaprasza na recital Alicji Majewskiej i Michała Bajora z udziałem Włodzimierza Korcza.

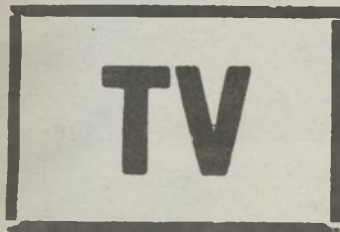
SPÓŁKA Z O.O. „CONTACT” OFERUJE

- magnetowidy
- kamery video
- telewizory kolorowe (firm zachodnich)
- kasety video i magnetofonowe
- komplety kabli video
- kserokopiarki
- kalkulatory
- profesjonalny sprzęt fotograficzny
- sprzęt komputerowy
- radiomagnetofony, wieże i inny sprzęt audio.

JESTEŚMY W STANIE ZREALIZOWAĆ KAŻDE ZAMÓWIENIE WYSTAWIAMY RACHUNKI

BIAŁA PODLASKA, ul. 1 Maja 1, tel. 363-63, tlx 863432

454/K-5



**CZWARTEK
2 LUTEGO
PROGRAM I**

8.25 Domator
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Piłsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów” (3) — serial fantast.-nauk. prod. nowozelandz.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. 10
11.00 Domator: To się może przydać
11.30 Encyklopedia zakopiańska
11.40 Domator: Kładziemy boazerię (2)
16.00 Program dnia i DT — wiadomości
16.05 „Milczące farty” — film dok.
16.45 „Jaremianka” — film dok.
17.15 Teleexpress
17.30 Patrol — wojskowy magazyn publicystyczny
17.50 Kino Teleferii: „Przyjaciele wesołego diabła” (4) — serial prod. pol.
18.20 Sonda: Siła chemii
18.50 Dobranoc: Pająk Chwał, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. 10 pt. „Kochać na śmierć i życie” — serial krym. prod. ang.
21.00 Pegaz
21.50 Remanent w rozrywce (1)
22.35 Spóźnieni (3) — reportaż
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Jutro w programie
23.10 Język francuski (14)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Do szkoły pod górkę: Korepetycje w natarciu
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 Muppet show, czyli rewia gwiazd: George Burns
19.30 Kino „Puls”
20.00 Wasilij Szukszyn — pisarz, aktor, reżyser
20.35 Pani Jadwiga — wspomnienie o Jadwidze Grabowskiej
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 „Oskar za Alwy” — telewizyjne widowisko muz.
22.50 Komentarz dnia

**PIĄTEK
3 LUTEGO
PROGRAM I**

8.25 Domator
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Piłsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów” (4)
10.00 Dt — wiadomości
10.25 „Związek jak beton” — film fab. prod. węgier.
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać — wszech- nica budowlana
16.25 „Wesele ryb” — film dok. prod. NRD
16.50 „Oitaz Azteków” — film dok. prod. pol.
17.15 Teleexpress
17.30 Kino Teleferii: „Przyjaciele wesołego diabła” — odc. 5 (ostatni) serialu prod. pol.

18.00 70-lecie odzyskania niepodległości: Sukces krzepi — Centralny Ośrodek Przemysłowy
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Jean Anouilh — „Zaproszenie do zamku”
21.40 Czas — magazyn publicystyczny
22.10 Jutro w programie
22.15 Telewizyjna szkoła tańca: Gorące rytmy
22.45 Szkoła mistrzów: Henryk Kluba
23.00 Dt — echa dnia
23.15—0.10 Świat jaki jest (4): „Barykady” — film dok. prod. ang.

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” — odc. 5 pt. „Siódmy tydzień” — serial TVP.
19.30 Dookoła świata: W Bagdadzie
20.00 „Piątek” — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wściki byk” — film fab. prod. USA
23.50 Komentarz dnia

**SOBOTA
4 LUTEGO
PROGRAM I**

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Dwa-naście miesięcy” (1) — baśń filmowa prod. ZSRR
10.05 Elżbieta Zalewska: „Dookoła stołu” — widowisko dla dzieci
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 „Leśna opowieść” — film dok. prod. ZSRR
12.25 Azymut
12.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Na krańcach świata helleńskiego” — film dok. prod. ZSRR
13.15 „Allies” (Irlandia) — program rozrywkowy
13.45 „Maskarada” — film baletowy Andrzej Jasiewicz
14.25 Telewizyjny Teatr Prozy: Tadeusz Różewicz — „Tolerancja”.
15.25 Komedia: „Lekarstwo na miłość” — film fab. prod. pol.
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 „Album warszawski” — film dok.
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Dt
20.05 „Wystarczy być” — komedia prod. USA
22.10 Tydzień w polityce
22.20 Telewizyjny przegląd sportowy oraz Halowe Mistrzostwa Polski w lekkoatletyce
23.20 Dt — wiadomości
23.25 Jutro w programie
23.35—0.55 Kino sensacji: „Słowo gliny” — film prod. franc.

PROGRAM II

14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 „Prapoczątki” (3) — film dok. prod. ang.
15.30 Spektrum
15.45 Spotkanie z Maciejem Ilowieckim
16.00 „Zwierzęta Gór Skalistych” — film dok. prod. USA
16.20 Globalna wioska

16.30 „Prapoczątki” (4)
17.05 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie
17.35 Muzyczne studio
18.00 TV Panorama Lubelska
18.30 Dziewczyna miesiąca — program rozrywkowy
19.30 Alfa i omega
20.00 Międzynarodowy Festiwal Chórów Chłopięcych — Wiedeński Chór Chłopięcy.
21.00 Magazyn „102”: reżyser Lech Majewski
21.30 Panorama dnia
21.45 Rynek reklamy — program publicystyczny
22.10 „Raj odłożony na później” — odc. 2 pt. „Kuszenie Henry’ego Simcoxa” — serial prod. ang.
23.00 Komentarz dnia
23.05—23.35 „W labiryncie” — odc. 5 pt. „Siódmy tydzień” serial TVP (powt.)

**NIEDZIELA
5 LUTEGO
PROGRAM I**

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Dwa-naście miesięcy” (2) — baśń prod. ZSRR
10.15 Goście „Fasoli” — Majka Jeżowska
10.30 Dt — wiadomości
10.35 Kraj za miastem
11.05 Nowe filmy Stanisława Szwarc-Bronikowskiego: „Najstarszy testament” — odc. 3 „Skarby”
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.30 Marek Sierocki zaprasza
12.55 Morze — program publicystyczny
13.15 Dla dzieci: „Złote Wrota” — teatrzyk piosenki z Koszyc
14.05 60 lat LOT-u — koncert jubileuszowy
15.05 „W kamiennym kręgu” — odc. 62 i 63 serialu prod. braz.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty. Marek Hłasko i jego filmy: „Pętla”, „Baza ludzi umarłych”, „Ósmy dzień tygodnia”, „Trzy opowieści”
18.10 Od Picadora do Zaleszczyk
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Tylko Manhattan” (5) — serial prod. USA
21.00 Sportowa niedziela
21.50 Jan Józef Szczepański: „Spiewać ze szczęcia”
22.15 Siedem dni na świecie
22.25 Magdalena z Kossaków (7): „Świat dyplomacji”
22.40 Premiera „Matki” Witkacego w Brukseli — film dok.
23.10 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.15 Dt — wiadomości
23.20 Jutro w programie

PROGRAM II

9.20 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.55 „Tylko Manhattan” (5) — serial fab. prod. USA (dla niesłyszących)
10.50 Magazyn lotniczy
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” (9) — serial przygod. prod. USA
13.10 100 pytań do...
13.50 Polacy: „Lech Zahorski — pod wiatr” — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Pierwszy raj” — odc. 3 pt. „Zniszczenia wojenne” — serial prod. ang.
15.35 Międzynarodowy Festiwal Chórów Chłopięcych —

„Stabat Mater” K. Szymanowskiego
16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.20 Non stop kolor: „Dzēm” i przyjaciele — transmisja koncertu
17.15 Aktualności kulturalne: Mozart w warszawskiej Operze Kameralnej
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Goście Daniela Pas-senta
19.30 Galeria Dwójki: Mieczysław Wasilewski (grafik)
20.0 Studio Sport: Piłka w grze
21.00 Kamyk zielony — spotkanie z Romanem Samselem. Program Tadeusza Kraśki
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dyrektorzy” — odc. 5 pt. „Pełniący obowiązki” — serial TVP
22.50 Komentarz dnia

**PONIEDZIAŁEK
6 LUTEGO
PROGRAM I**

16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 „Pylek” — program publicystyczny
16.25 Teleferie. Teatr dla dzieci: Jan Ośnica „Baśń o pięknej Pulcheryi i szpetnej Bestyi”
17.15 Teleexpress
17.30 Wigry — program publicystyczny
17.40 Echa stadionów
18.30 Laboratorium
18.50 Dobranoc: Bajka o skrzacie i jego chacie
19.00 10 minut
19.10 Telereporter
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Jarosław Abramow — „Maestro”.
22.00 Dylematy — program publicystyczny
22.35 Dt — echa dnia
23.15 Język niemiecki (14)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna-polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym
19.10 Teletrans
19.30 Życie muzyczne. „Śląskie dni muzyki współczesnej”
20.00 Magazyn „102” — wydanie specjalne: Krajowa scena młodzieżowa”.
20.30 „Uwaga dokument”: „Trans-sex” — film Andrzeja Drajewskiego
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Eksperyment — reportaż z gościnnymi występów Teatru z Leningradu.
22.00 Biografia: „James Joyce” — film dok. prod. ang.
23.00 Komentarz dnia

**WTOREK
7 LUTEGO
PROGRAM I**

8.25 Domator
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Piłsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów” (5) — serial prod. nowozelandz.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Biała wizytówka” (6)
11.25 Domator: Rady na życie
16.00 Program dnia
16.05 Wspólna Polska — wspólne sprawy
16.25 Teleferie. Teatr dla dzieci: Maria Kownacka „Szewczyk Dratewka”
17.15 Teleexpress
17.30 „Tajemniczy pan Du-

vallier” (3) — „Bez użycia karte”. serial prod. franc.
18.30 Klinika zdrowego człowieka
18.50 Dobranoc: Sniegowe skrzaty
19.00 10 minut
19.10 „Od A do Z” — „B jak buty”. Program publicystyczny
19.30 Dt
20.05 „Biała wizytówka” (6 — ostatni) — „Zarząd przy-musowy” — serial prod. TVP
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 „Awgust — August” — recital leningradzkiej grupy rockowej
22.00 Spory — program publicystyczny
22.30 Dt — echa dnia
22.50 Język angielski (14)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Wielka epoka” (6) — serial dok. prod. wł.
18.00 Program lokalny
18.30 „Ostatki, czyli przed Wielkim Postem” — progr. rozr.
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narciarski
20.00 Non stop kolor: „Loretta Lynn — dama, legenda” — film dok. prod. USA
21.00 „Historia mało znana” — „Budapeszt. Kronika komunikacji” — film dok. prod. węgier.
21.30 Panorama dnia
21.45 Adaptacje opowiadań Guy de Maupassanta: „Wśród pól” — film fab. prod. franc.
22.40 Komentarz dnia

**ŚRODA
8 LUTEGO
PROGRAM I**

8.25 Domator
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Piłsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów” (6) — serial prod. nowozelandz.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Spotkania na lotnisku” (2) — „Mayday” — serial obycz. prod. NRD
11.25 Domator: Przyjemne z pożytecznym; Bliżej siebie, wiek jesieni
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.05 Bariery
16.25 Teleferie. Teatr dla dzieci: Maria Kann „Zakłętą kaczo”.
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzzenia
18.00 „Italo disco” — program rozrywkowy
18.20 Dawniej niż wczoraj.
18.50 Dobranoc: Miś Uszatek
19.00 10 minut
19.10 Sejmowe spotkania
19.30 Dt
20.05 „Sceny dziecięce z życia prowincji” — film fab. TVP
22.25 Klub Międzynarodowy
22.55 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Teleturniej „A B C”
18.00 TV Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów
19.00 Rzeczpospolita nieznana (1) — Warszawa
19.45 Zza kulis festiwalu — Międzynarodowy Festiwal Chórów Chłopięcych
20.00 Spotkanie z cieniami — Mieczysław Karłowicz
21.00 Rynek sztuki — program publicystyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 Telewizja nocą
22.30 „07 zgłoś się” (6) — „Złoty kielich z rubinami” — serial krym. TVP
23.30 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciółek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlu czuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska, Korkata: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 151. 20.01.89. B-5.

NA ORBICIE GEOSTACJONARNEJ ROBI SIĘ JUŻ POWOLI TŁOK TELEWIZJA SATELITARNA

Franciszek Skwierawski

Od dawna zapowiadana i reklamowana „Astra”, czyli zachodnioeuropejski satelita telekomunikacyjny, umieszczony 10 grudnia ub. r. na orbicie, ma w sposób zasadniczy zmienić sytuację na satelitarnej mapie Europy. Do 36 przekazywanych via kosmos programów telewizyjnych „Astra” doda dalszych 16. Na uwagę zasługuje jeszcze i to, że będą one nadawane ze znacznie większą mocą, co umożliwi zredukowanie średnicy anteny ze 180 do 90 cm. Taką antenę można już z łatwością instalować na balkonie czy nawet w oknie, byle byłaby zwrócona w kierunku południowo-zachodnim i żaden sąsiedni budynek nie zasłaniał tego kierunku.

Z „Astrą” wiążą poważne nadzieje nie tylko zachodni producenci aparatury satelitarnej, ale również nasi krajowi producenci anten. Nic więc dziwnego, że w telewizji i prasie pojawiły się już stosowne ogłoszenia reklamowe. Zabrakło w nich jednak istotnych informacji, że co najmniej siedem programów będzie kodowanych, a kilka innych nadawanych w nowym systemie D-2-MAC, co znacznie skomplikuje lub wręcz uniemożliwi odbiór.

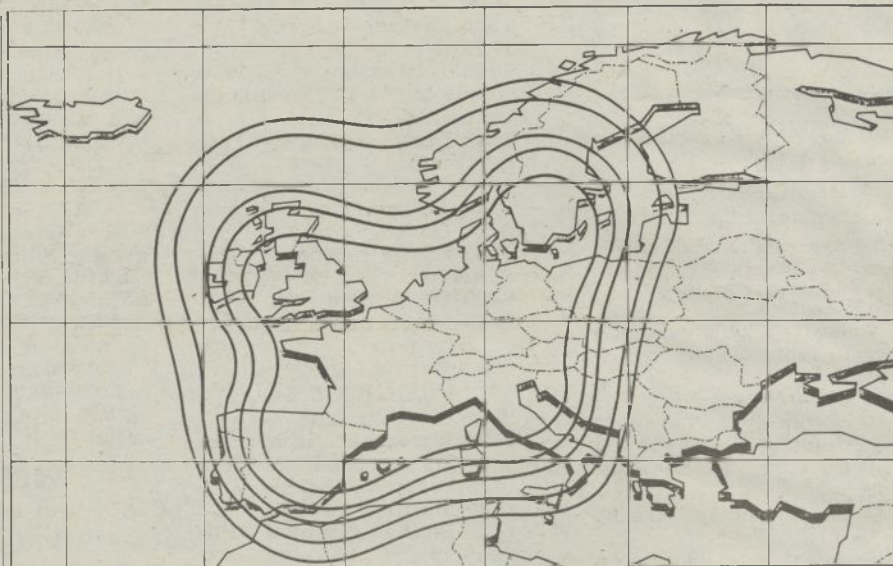
Przyjmuje się, że erę światowej telewizji zapoczątkowała Wielka Brytania 2 listopada 1936 roku. Po wielu eksperymentach, prowadzonych w różnych krajach, w tym również w Polsce, zdecydowano wtedy ostatecznie, że telewizyjne programy będą emitowane na falach ultrakrótkich, które poza wieloma zaletami mają bardzo poważną wadę — rozchodzą się, podobnie jak światło, po liniach prostych, co ogranicza ich zasięg do linii horyzontu. Zwiększenie mocy nadajników nic nie daje. Zasięg stacji poszerza się proporcjonalnie do wysokości wyniesienia nad poziom ziemi anteny nadawczej. Od początku instalowano więc anteny na wysokich budynkach, wieżach i masztach. Efekty owych działań zawsze jednak pozostawały nieproporcjonalnie do kosztów tych wielkich budowli. Największą, jak do tej pory, wieżę te-

lewizyjną wzniesli Kanadyjczycy w Toronto. Mierzy ona 553 m. Jest raczej atrakcyjnym akcentem architektonicznym miasta, niż obiektem umożliwiającym szerokie rozszalenie programów telewizyjnych, które poza strefą koła o promieniu 200 km nie są odbierane.

W latach sześćdziesiątych równolegle w Stanach Zjednoczonych i w Związku Radzieckim przeprowadzono udane eksperymenty z wykorzystaniem balonów na uwięzi i samolotów do przekazywania programów telewizyjnych na dalekie odległości. W Stanach Zjednoczonych potężny samolot typu DC 8 AB wyposażono w aparaturę nadawczą z anteną. Krążył on na wysokości 7 tys. metrów nad północnym obszarem stanu Indiana i nadawał telewizyjne programy edukacyjne, odbierane na terenie sześciu stanów przez 13 tys. szkół z 5 milionami dzieci. Samolot zabierał taśmy filmowe i magnetyczne z gotowymi programami i emitował je w kierunku Ziemi.

Ten krótki okres telewizji lotniczej pozostanie mało znaczącym, ale ciekawym epizodem w dążeniach do stworzenia powszechnej globalnej telewizji satelitarnej. Taka możliwość pojawiła się 5 października 1957 roku, gdy z orbity okołozemskiej sygnały radiowe zaczął nadawać radziecki sputnik. Był to pierwszy praktyczny przykład rodzajnych się możliwości emitowania radiowych i telewizyjnych programów z satelitarnych stacji dla wielkich obszarów naszej planety.

Gdy w latach sześćdziesiątych instalowano coraz liczniejsze stacje satelitarne, mało kto pamiętał, że taką ideę przedstawił już w 1945 roku angielski pisarz i dziennikarz specjalizujący się w literaturze science fiction — Arthur Clarke w książce pt. „Wireless World” („Świat bez łączy”). Proponował on umieszczenie na tzw. orbicie geostacjonarnej trzech telewizyjnych stacji nadawczych. Dzięki takiemu usytuowaniu mogłyby one zapewnić odbiór programów na wszystkich zamieszkałych obszarach naszej planety. Była to wówczas czysta fantazja. W zniszczonej woj-



Zasięg „Astry”

na Europie nikt tego poważnie nie traktował. Nie było wówczas zresztą możliwości technicznych umieszczenia na takiej wysokości stacji nadawczej. O oryginalnej i ciekawej propozycji A. Clarke'a zapomniano. Jednak w 1982 roku, w dowód uznania za stworzenie wizji światowego systemu telewizji satelitarnej, A. Clarke otrzymał Międzynarodową Nagrodę Marconiego.

Na orbicie geostacjonarnej, nazywanej też orbitą Clarke'a, robi się już powoli tłok, bo taka orbita jest tylko jedna. Przebiega dokładnie nad równikiem na wysokości 35 786 km. Umieszczony na tej wysokości satelita okrąży Ziemię w ciągu 24 godzin, dzięki czemu nie zmienia swego położenia wobec określonego obszaru na naszej planecie.

Dla zachowania ładu i porządku na tej orbicie, porównywanej do wielkiej autostrady, ustalone zostały bardzo dokładne zasady „ruchu”. Przyjęto m.in., że odległość dzieląca dwie sąsiadujące ze sobą stacje satelitarne nie może być mniejsza niż 4 400 km; a dopuszczalne odchylenie nie powinno przekraczać ± 74 km. Określono też moc instalowanych nadajników i wiele innych para-

metrów technicznych. Każdy kraj, nawet najmniejszy, otrzymał tam swoje miejsce.

W pierwszym okresie rozwoju telewizji satelitarnej funkcjonowały wyłącznie satelity telekomunikacyjne, które dublowały niejako naziemne stacje nadawcze, spełniały funkcję przekazywania programów kierowanych do sieci kablowych. Okazało się jednak, że satelity te zapewniają bardzo wysoką jakość odbioru, uzyskiwaną za pomocą indywidualnej aparatury. Tego faktu nie przewidzieli twórcy telewizji satelitarnej. Dla indywidualnych odbiorców przewidziana była tzw. telewizja bezpośredniego odbioru, której start został z różnych względów opóźniony, lecz głównie dlatego, że satelity telekomunikacyjne spisywały się tak dzielnie. Start zachodniemieckiego TV-SAT powiódł się, ale awaria baterii słonecznych wyeliminowała go (kolejna próba — koniec 1989 r.). Francuski TDF-1 jest już na orbicie i przygotowuje się do rozruchu, a brytyjski BSB-1 do startu, planowanego na jesień 1989 roku. Na satelitarnym niebie Europy spodziewane są już w tym roku zasadnicze zmiany.

KUCHNIA MAŁOPOLSKA

BÓL NOWOŚCI

Janusz Malinowski

NOWE nie ma w Polsce lekko. Podobno zresztą nigdy lekko nie miało, bo już w pierwszej połowie ubiegłego wieku francuski hrabia Charles Alexis de Tocqueville w jednej ze swoich prac pokusił się o stwierdzenie, iż lud polski silnie do tradycji przywiązany i na nowinki oporny.

Jak tam rzeczywiście przed stu pięćdziesięciu laty z nowościami bywało, tego dokładnie nawet najstarsi górale nie pamiętają, jest natomiast faktem bezspornym, że obecnie nowemu zawsze prawie pod górę. Zwłaszcza, gdy lansuje je mądra i przewidująca władza, a stosować ma mniej uczony i krótkowzroczny lud.

Od jakiegoś to czasu trwają różnorakie zabiegi rządzących, aby tam, gdzie to możliwe, lud rządził się sam. No, najwyższej może z pomocą sołtysa i dzielnicowego, bo przecież, żeby czterdzieści pięć lat po wojnie całkowite bezholowie panowało, to zgroza.

Władza stara się więc, umizga, a gdy już wydaje się jej, że przekonała obywateli — organizuje referendum. A ludność co na to? A nic. Większość ludności zostaje spokojnie w bamboszach przed telewizorem i nie idzie głosować na demokrację. Tak jakby chciała powiedzieć: bierzcie panowie pieniądze za przemawianie i podpisywanie decyzji, no to proszę rządzić. Tylko dobrze, bo klient płaci i wymaga!

Cóż robić, siła wyższa, nie chce ludność rządzić, to trzeba jakoś dalej pchać ten wózek odgórnie. Różne organy władzy pracują w znoju, w końcu jednak to i owo urządzają.

Piątego dnia miesiąca października roku 1987 ministrowie: komunikacji oraz spraw wewnętrznych urządzili na przykład zarządzenie w sprawie zarządzania ruchem na drogach. W zarządzeniu tym postanowili (zapewne zgodnie z wolą większości „referendalnej”), że dość tej gminnej i miejskiej partyzantki na drogach! Odtąd regulować ruch w wioskach, przysiółkach i osadach będzie inżynier wojewódzki.

Inżynier wojewódzki oponuje wprawdzie, bo nie najlepiej orientuje się w częstotliwości przepędzania krów przez gościniec w Choinach Dolnych, ale ministrowie każą, więc urzędnik musi. Nie chciała ludność rządzić się sama, to zakaz wjazdu traktorem nakazuje postawić w Wólce inżynier z Lublina. I stawia.

Nie łatwiej też idzie torowanie nowego myślenia w gospodarce. Dwa, trzy lata szybkich zmian i z głowy — proponuje ludność w kolejnym punkcie referendum. Ale „przywiązany do tradycji lud” znów jest konserwatywny i mówi: raczej wolniej, bo jak wszystko będziemy mieli z głowy, to zrobi się nudno.

Ponieważ jednak nie każdy kominiarz i pielęgniarka muszą znać się na szybkich zmianach, dochodzi ostatecznie do operacji cenowo-dochodowej. I co? Ano nudno na pewno nie jest, a już „z głowy” tym bardziej.

Żeby gospodarowanie jeszcze uatrakcyjnić, otrzymamy wkrótce nowe monety. Mniejsze i lżejsze — donosi z satysfakcją agencja prasowa. Gdyby zapytać ludność — okazałoby się może, iż woli ona większe i cięższe, ale za to bardziej wartościowe. Koszta rezygnacji z samorządzenia trzeba jednak ponosić z godnością.

Powyższe dwa, wybrane na chybił trafił przykłady nie obrazują jeszcze całej skali zjawiska, jakim jest myślenie w Polsce po staremu lub „tradycyjnie” — co kto woli. Otóż wciąż i bez przerwy po staremu chce nasza ludność pełnych sklepów i pustych autobusów, dużych samochodów i małych kalkulatorów, długich weekendów i krótkich kolejek, powolnego drożenia towarów i szybkiej obsługi petentów, ciasnych gabinetów i przestronnych mieszkań, dalekich podróży i bliskich perspektyw lepszego jutra. Jak wykazały najnowsze badania CBOS, po staremu też nie chce ludność rządzić się sama, lecz być rządzoną. Byłe uczciwie, mądrze i skutecznie.

Ja naprawdę nie wiem, jak w tej sytuacji upowszechnić nowe myślenie, nowe prądy, nowe idee, jak przekonywać do nowości płynących z warszawskiego Nowego Świata, skoro już po przebrnięciu paru ulic tracą one świeżość, a po kilkudziesięciu kilometrach starzeją się zupełnie. Skoro przywiązanie do „tradycji” jest tak silne, że ludność nie rwie się do władzy i wciąż muszą się męczyć jej pracownicy już przedstawiciele.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

REPORTAŻE:

♦ O SPOTKANIU LUDOWCÓW W PUŁAWACH ♦ O STRAJKU W SPICZYNIE ♦ O ROZMOWACH PRZY BAZYLICE GROBU W JERUZOLIMIE ♦ O BLASKU SREBRA ♦ O KLINICE, GDZIE LECZY SIĘ CHORYCH NA AIDS.

ROZMOWY:

♦ Z BOLESŁAWEM TABORSKIM, EMIGRACYJNYM LITERATEM, TŁUMACZEM DRAMATÓW KAROLA WOJTYŁY ♦ Z JOSEPHEM E. GORE, PREZESEM FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ ♦ Z ALICE LE MAISTRE, ATTACHÉ KULTURALNYM USA.

REFLEKSJE:

♦ O TOPNIEJĄCYCH PIENIĄDZACH ♦ O KOLEGIACH ORZEKAJĄCYCH ♦ O SKUTKACH PLANOWANIA GOSPODARCZEGO ♦ O PUŁAWSKICH ZBIORACH CZARTORYSKICH ♦ O DZIEJACH STAREGO TEATRU W LUBLINIE.

RECENZJE:

♦ Z NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI T. KONWICKIEGO ♦ ? PRZEDSTAWIEN W LUBELSKICH TEATRACH.
PAMIĘTNIK: „OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII”.